Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 16. Maja 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 20.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

DWIE DROGI.

III.

To co w narodzie stanowi cement łączący ludzi w jedną rodzinę, to co nazywamy duchem narodu, to nie daje się kierować wolą pojedyńczych ludzi, uderzeniem ręki lub wymownem słowem. Są niezłomne prawa, które rządzą tym duchem narodu, a które są niezmienne i odwieczne. Naród więc pójdzie tam, gdzie pójść musi, albo ku zagubie, albo ku rozwojowi. My możemy tylko baczyć na drogi któremi idzie, śledzić je i wnioskować z symptomatów, czy złą ścieżką postępuje, czy też zbawienną.

Rozbieraliśmy wyżej obie te drogi i wypowiedzieliśmy nasze najwewnętrzniejsze przekonanie, że jeżeli iść będziemy razem z wstecznikami, bezwzględnymi adoratorami tradycji minionych czasów, jeśli stawać będziemy ogólnemu postępowi na przeszkodzie, jeśli stawiać będziemy ideę Polski tak, że gdyby ona była urzeczywistnioną, to ludzkość na tem korzyści by żadnej nie odniosła, to celu naszego ostatecznego nie osiągniemy.

Zobaczmyż jakie są symptomata i co one mówią o kierunku, w którym naród idzie?

Na pierwszy rzut oka, całość smutnie się dość przedstawia. Gdy chodzi o sprawy wolności narodowej, to jest zawsze jeden głos wielki, potężny, który echem odbija się na całym świecie, a który jest bezskuteczną skargą, gorącem pragnieniem, wymownym protestem przeciw gwałtowi. Tu — żaden zarzut nas nie spotka. Ale gdy chodzi o sprawy postępu, liberalizmu, swobody wyznań, swobody nauki, to bez zaprzeczenia słyszymy ciągle puszczykowe odgłosy. Gdyby ci, którzy sławę taką nam wyrabiają, rzeczywiście naród reprezentowali, to wątpić by należało o przyszłości. Ale jeśli zdołamy głębiej wniknąć w istotę rzeczy, jeśli uprzytomnimy sobie historję ostatnich lat kilkudziesięciu, to przekonamy się, że gdy przyszło do chwili decydującej, gdy chodziło o zamanifestowanie się i pokazanie, że idziemy razem z ludzkością, z postępem, to zawsze z głębi narodu wychodziły nowe i nieznane dotychczas siły i niosły dla ogólnej sprawy krew swą, mienie i talenta. Ci co nam opinię wsteczników robili, nikli gdzieś wtedy w cieniu i znowu wracała nam dobra sława. W najgorszych chwilach kiedy się zdawało, że wszystko co myśli, jest w uśpieniu, gdy możni i reakcjoniści całą władzę w ręku swojem mieli, i w takich chwilach odzywały się zawsze głosy donośne, dające znać o tem, iż za nimi są zastępy postępowe i liberalne, o których zapominać nie należy.

Jedną z najgorszych takich chwil była popowstaniowa. Nieszczęście, bolesne zrządzenie losu, przygnębiło wszystkie umysły. Fatalny wynik zrobił masy tak słabemi, że uledz musiały tym, którzy w powstaniu udziału nie brali i reakcja rozwielmożniła się na dobre. Wtedy właśnie w samem sercu, w Warszawie, wśród nowego pokolenia młodzieży, znalazła się falanga umysłów gorących a trzeźwych, którzy otwarcie i z siłą stanęli w obronie zagrożonego obozu postępowego. Pozakładano nowe pisma i wywołano tak wielki ruch wydawniczy, jakiego jeszcze nigdy w Polsce nie było. Od tego czasu datuje tak wielki rozwój dziennikarstwa polskiego i wytworzenie stronnictwa postępowego, jasno swój program wypowiadającego. Ono to wciągnęło publiczność do udziału w walkach ludzkość obchodzących, wywołało ożywione spory i przyczyniło się do tego, że postępowcy zjednywają sobie ciągle, aczkolwiek powoli, nowe zastępy adeptów. I jakkolwiek dziś powszechnemi są głosy, że stronnictwo to sieje niezgodę w kraju, to właśnie my, sianie tego rodzaju niezgód uważamy za zdrowy objaw budzącego się ducha. Mówiliśmy o tem powyżej. Bez walki nie ma postępu. A jeśli teraz weźmiemy pod uwagę tę część ziemi naszej, na której mieszkamy, to i tu, mimo właśnie najbardziej jaskrawych tendencji reakcyjnych, nie brak pocieszających symptomatów. Stronnictwo stańczykowskie, które tak wielką potęgę miało przez kilka lat ostatnich, coraz bardziej traci na swym wpływie. Kilka ciosów stanowczych, wymierzonych w stosownych chwilach, jest dowodem, że gdy chodzi o sprawy ogół obchodzące, to wsteczników naród na bok usuwa. Najdotkliwszym dla nich był zwrot opinji, podczas jubileuszu Kraszewskiego, kiedy się zjechano ze wszystkich zakątków kraju i przyjrzano się bliżej ich działaniu i tendencjom.

Jeżeli więc głębiej się ogólnemu ruchowi przypatrzymy, to rezultat nie okaże się tak smutnym i bilans pracy postępowej tak złym, jakby to powierzchownie wydawać się mogło. Nie zakładajmy więc rąk i bez obawy idźmy naprzód, niosąc wysoko obok idei Polskiej, ideę ludzkości, niezapominając że pierwej byliśmy ludźmi, zanim byliśmy Polakami, walczmy z reakcją wszędzie i na każdym kroku, nie uważając na krzyki tych, którzy twierdzą, iż nowe zasady społeczne i filozoficzne idei narodowej szkodę przynoszą, że idąc dalej w tym kiernnku co my, dojdziemy do tego, że będziemy jako inni ludzie, ale nie będziemy Polakami. O to nie ma najmniejszej obawy. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że nie masz drugiego narodu nad nasz na świecie, któryby miał tak wielkie przywiązanie do swej narodowości, i w którym by tak mało znajdowało się jednostek marzących o rozlaniu się tego narodu w falach ogólnych i bezgranicznych kosmopolityzmu. Zużyci magnaci, wycierający swe herby w wielkich miastach Zachodu, awanturnicy polityczni, to są zastępy, z których rekrutują się owi beznarodowościowi apostołowie. Większość narodu, mimo zasadniczych różnic przekonań, ma jeden wielki cel przed sobą, a tym jest wyzwolenie narodu. U nas nawet nie ma obawy, aby przywiązanie do tego sztandaru wygasło, bo jest ciągły czynnik pobudzający, nie dozwalający zapomnieć ani na chwilkę o nim; jest nim niewola i ucisk narodowości. Póki ta niewola i ten ucisk istnieją, póty trzymać się będziemy całemi siłami idei narodowej.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wysocki mieszkał o milę tylko od Wólki we własnej wiosce nie wielkiej, ale dosyć zagospodarowanej. Siostrę za Łączewskiego wydawszy, sam z matką staruszką siedział we dworku nie wielkim, zabawiając się jarmarkami i polowaniem. Matka Skarbnikowa, osoba już w późnym wieku, zupełnie była głucha i dla tego mało się ludziom pokazywała, cała będąc nabożeństwu oddana. Głuchota jej służyła na dobre, bo o panu Ksawerym nie słyszała co mówili ludzie.

Ksawerek szkół nie skończywszy, gdyż mu do nich wstyd chodzić było, tak zawczasu wyrósł na ogromnego drągala — powrócił do domu i życie zaczął po swej myśli. Konie i strzelba za wszystko mu stały, a za kołnierz też nie wylewał.

Żyć lubił i zwady nie unikał. Ponieważ mu się z szablą dosyć szczęściło, bo i sam nie obrywał, i drugich znaczył, a krew im puszczał, miał się p. Ksawery za niezwyciężonego. Ztąd ta myśl szalona, gdy od panny Barbary dostał odprawę, do niej nie dopuścić nikogo. Zaklął się, że ją musi mieć. Łączewski szwagier jego, człek spokojny, dobry, ponieważ małą miał substancją a żona mu nie zły posag wniosła i Skarbnikową miał za wielką osobę, a rodzinę jej za wielce dystyngowaną, więc się wysługiwał szwagrowi i posłuszny mu był.

W tym też razie stanął na rozkaz p. Ksawerego, najpewniejszym będąc że się spotkanie skończy zwykłym tryumfem. Stało się inaczej, Wysocki odjeżdżał przyduszony, wściekły tak, że mówić nie mógł. Łączewski nie śmiał się odzywać, wlókł się za nim. Ujechali kawał dobry, póki Ksawery przyszedłszy nieco do siebie, nie odwrócił się ku Łączewskiemu.

Straszno nań było patrzeć, tak jeszcze siną miał twarz.

— Ani mru! mru! — rzekł rękę podnosząc.

— Dałem słowo, że panny oprymować nie będę! Pal ją djabli — dodał Wysocki — a że jemu nie daruję, to nie...

Łączewski głową potwierdzał wszystko...

— Podszedł mnie podłą zdradą! — krzyczał długiemi ręczyskami wywijając Wysocki — a no! pozna on mnie teraz... Panny oprymować nie będę, ale jemu się we znaki dam, znajdzie on mnie wszędzie... Nie daruję! nie daruję, jakem szlachcic, nie przebaczę... Nogami go podepczę! nogami! Sto bizunów, mało, gardło da! gardło da!

Wykrzykiwał tak Wysocki, aż chrypł, a sierdził się, że koń pod nim idący się żachał, a co ten się rzucił, walił batem i na koniu się naprzód skrupiło.

Łączewski, choć mu konia było żal, nie pisnął słowa, nie będąc pewny żeby mu się też batem nie dostało. W takiej był passji p. Ksawery.

Gdy się dobili do domu, trzy dni Wysocki, nie puszczając szwagra od siebie, radził co miał zrobić. Mowa była o zasadzce i bizunach, o spotkaniu gdzieś, o nowem wyzwaniu, o różnych pomstach, i ledwie nie ledwie Łączewski skłonił szwagra do tego, ażeby dał sobie czas do namysłu.

Przystał na to p. Ksawery, szwagier rad, że się uwolnił, odjechał do domu, a Wysocki nie mogąc zapomnieć swej krzywdy, chodził z nią jak z kamieniem na piersi.

Wszystkim w oczy wpadało, że się zmienił, z ludzi nikt do niego przystąpić nie mógł, tak był zły. Nic mu nie smakowało.

Medytując nad zemstą ciągle, trutynując, jak powiadał, sprawę swą, nakoniec doszedł do tego, że z pełna nie wiedział nawet kto był ten zuchwalec, który go pokonał.

Skarbnikowa swojego czasu miała stosunki. Wysocki z nią, jeszcze za młodszych lat, bywał w Kodniu, przyszło mu na myśl pojechać się księżnie submitować i na miejscu szukać języka.

Myślał też a nuż mu się nawinie okazja do nowej zaczepki, a obiecywał sobie jej szukać.

Gorączka go taka paliła, że gdy myśl powziął, natychmiast do kufra poszedł, żeby garnitur sobie wybrać co najlepszy po nieboszczyku ojcu, który na nim leżał jak ulał.

Matce na migach pokazał, że u księżnej chce być, co mu bardzo pochwaliła. Następującego dnia przypadała niedziela, więc i nabożeństwo przed cudownym obrazem. Składało się jak najlepiej.

W kościele zaraz spostrzegł strażnika koronnego, którego znał i pokłonił mu się, a po mszy świętej z nim razem poszedł do dworu.

Koniuszy, który był na mszy, spostrzegłszy go, szepnął Jackowi na ucho, wychodząc z kościoła:

— A no go masz! Widziałeś? Wysocki przyjechał.

— A mnie on co obchodzi! — odparł Jacek.

— Że on tu nie bez myśli przyjechał, to bym gardło dał — dokończył stary — a no da się to widzieć. Miej się na baczności.

Więcej daleko od Jacka na oku miał przybyłego Wysockiego, Koniuszy. Postrzegł, że do strażnika przylgnął naprzód, a miał też tu innych znajomych, do których należał starszy sekretarz księżnej Długoszewski. Ten Jacka nie znosił i nosem nań kręcił, z dawna się odgrażając, że go wyforuje. Poszło to ztąd naprzód, iż strażnik go lubił, więc z zazdrości, powtóre, iż dwa czy trzy razy w różnych kwestjach, Zadorski miał po sobie słuszność i przy swem się utrzymał.

Długoszewski wykrętny, przebiegły, nie patrzący środków byle do celu dojść, był postrachem całego dworu, bo donosił po cichu, a trzymał się mocno, gdyż wiele wiedział.

Ospowaty, mały, z wąsikiem jak sznureczek pod nosem, burczący, obchodzący się ostro z podwładnymi, Długoszewski lubionym nie był. Żona jego i on postrachem byli ludzi, gdy księżna przyjeżdżała, bo oboje do niej chodzili z plotkami. Po obiedzie zaraz postrzegł Koniuszy, że Wysocki poszedł do dworku Sekretarza.

Radzi mu tam byli, bo go jako dziedzica wioski i obywatela estymowano. Jejmości samej nie było. Długoszewski na węgrzyna zaprosił. Po drugim czy trzecim kieliszku — odezwał się Wysocki.

— Co to wy tu za młokosa macie w kancelarji, który mi się koło nosa przewija... a do Wólki jeździ, bodaj nie do Łowczanki!

— No, chyba ten Zadorski! — rzekł Długoszewski.

— Tak jest, Zadorski. — Cóż to za jeden? zkąd?

— Kat go wie? Przybłęda jakiś, ja go cierpieć nie mogę, bo zuchwały.

— Któż go tu wam dał?

— Strażnikowi bodaj w Białej go naraili, gdy potrzebował do przepisywania.

Spostrzegł pan sekretarz, że Wysocki podzielał jego usposobienia, i dołożył:

— Tylko co nie widać jak ja go ztąd wyforuję, bo mi śmierdzi!

Wysocki popił to winem...

— Z których-że to stron ten jegomość?

— Otóż to, że pytaj nie pytaj, to się nie dowiesz. Ani swata, ani brata... Coś mi to nie do gustu...

— Ma się do Łowczanki! — wtrącił Wysocki.

— Z tego to nie będzie nic — dołożył Długoszewski — ja mu tam stołka przystawię. Łowczy za nieznajomego przybłędę nie wyda.

— Nie powinienby, ale on bo z panną coś się zwąchał — dodał Wysocki.

— Panna śmiała i takie ma obejście się z ludźmi — rzekł sekretarz — ale żeby się z lada kim wdała, nie sądzę. A cóż z wami?

Na to pytanie stuknął lampką Wysocki o stół.

— Jam jej dał za wygranę — rzekł.

— O! o! — przerwał sekretarz.

— Jakem żyw, nie ona jedna w świecie.

Sekretarzowi, który i pozbyć się chciał Rejentównej i razem jej przysłużyć, przyszła na myśl Klaryssa. Nie była to, właściwie rzekłszy, partja dla Wysockiego, ale kilka tysięcy dukatów, które miała na pewno, więcej były warte, niż wioseczka pana Ksawerego.

Przysunął się do niego.

— E! gdyby panu Skarbnikowiczowi bardzo o młodość nie chodziło — począł cicho — zdałaby mu się Rejentówna nasza. Osoba, fiu! fiu! głowa ministerjalna! maniery, jak naszej księżnej, choć na królewskie pokoje! Wcale przystojna, a pod poduszką gotówka, kilka tysięcy dukatów. Co pan na to? Ja w tem, że byleś rękę wyciągnął, to ją weźmiesz.

Namyślił się Ksawery i zapytał:

— Jak mówicie? ile ich tysięcy...

— Za pięć, praeter propter można ręczyć, a księżna też jej nie puści bez wdzięczenia się, bo, ja i ona, wiemy dużo! o! o!

Wysocki jeszcze myślał.

Nie do odrzucenia by to było — odezwał się — tylko trzeba by choć zobaczyć...

— Chodźmy do niej! — zawołał sekretarz.

— Jak! zaraz? teraz.

— A no! odkładane na nic się nie zdało...

Nie bardzo się dał prosić Wysocki i poszli. Wprowadził go Długoszewski z tyłu wprost do pokoju panny, która się wcale odwiedzin tych nie spodziewała. Zdumiały ją nieco, ale odgadła cel natychmiast. Wysockiego znała z widzenia i słuchu. Przyjęła ich nader uprzejmie, a pan Ksawery mógł się przekonać, po świeżej bytności u księżnej, że to była wierna jej kopia przez niezłego artystę wykonana, tak naśladowała ruchy, mowę, miny, akcent swej pani.

Pan Ksawery niepiękny był, lecz wiele mówiło za nim, młodość, obywatelstwo, wioska, tytulik po ojcu... Panna Klaryssa bacznie się przypatrywała. W rozmowie Ksawery niewiele okazał dowcipu, ale o to wyposażenie do stanu małżeńskiego nie chodziło wcale, miała go za dwoje Rejentówna.

Wolała nawet takiego, nad którym wyższość miała zapewnioną. Siedzieli z pół godziny, w czasie której prawie sama panna Klaryssa mówiła ciągle, a gdy pożegnawszy się wychodzili, szepnęła na ucho Długoszewskiemu:

— Jak ma co z tego być, niechaj nie marudzi!

W środku dziedzińca zaś Ksawery obrócił się do sekretarza i powiedział mu:

— Słowo daję, nie od tego jestem. Kuta, kuta!

Roześmiał się Długoszewski i podszepnął:

— Na pewniaka idź pan, byle na zbyt nie zwlekać...

Kiwnął głową Wysocki, miał czas pomyśleć że, naprzód Łowczanka nie wiadomo czy pięć tysięcy wyposażenia otrzyma, a powtóre, gdy się jej wyrzekł, dobrze było pokazać, iż ze dworu księżnej pannę może dostać.

— Niechaj zna! — pomyślał sobie.

Tegoż wieczora Koniuszy się zszedł w stajni z Jackiem.

— A co! — rzekł — bodaj byśmy nie mieli wesela; przysięgnę, że Długoszewski tego drągala swata Rejentównie. Jeżeli to przyjdzie do skutku, asindziejowi może być nie na rękę.

— A to jak?

— Bo i Rejentówna ma ansę, żeś jej nie chciał, gdy ona widocznie go ciągnęła, no, i ten długonogi nierychło opuchłe gardło zapomni.

— A co mnie tam! — westchnął Jacek — ja spodziewam się nie mieć z nimi żadnej sprawy.

— Byle oni jej nie szukali — dodał Drobisz po cichu — Bać się nie ma czego, a pogardzać nie życzę.

Panna Rejentówna i sekretarz niespodzianie a szczęśliwie rozpocząwszy sprawę z Wysockim, nie zaspali gruszek w popiele. Otrzymał zaraz zaproszenie od Długoszewskiego na obiadek pan Ksawery, na którym panna była tak strojna w łupy na księżnie zdobyte, że się sama nią być wydawała. Po obiedzie zostawiono ich tak, aby swobodnie romansować mogli, do czego panna miała i dar i doświadczenie. Ksawery upił się nie winem, ale jej wejrzeniami, a wąsa kręcił stojąc przed nią i już najformalniej oczami się oświadczał...

Zasiedział się do wieczora, ofiarował się odprowadzać, co zostało przyjętem, potem jeszcze z godzinę u niej został, i nocą późną do domu powrócił.

Nazajutrz konfidencjonalnie powiedziała Klaryssa Zielońskiej:

— Moja kochasiu! Już podobno teraz to ja ci mojego miejsca ustąpię! Coś się święci.

— Aby pewno! — odparła przyjaciółka.

— Drągalowaty chłopak, ale młody zakochał się aż śmiech — szepnęła Klaryssa — wioskę ma, possesjonat, cóż ty chcesz?! (C. d. n.)

Ottona Hausnera

BROSZURA

„Deutschthum und Deutsches Reich"

(Ciąg dalszy.)

To przypuszczenie zasadniczej i faktycznej nieprzyjaźni Niemiec do Rosji, zreasumować mogę w ten sposób, że doprowadzi to albo do pojednania, do wzmocnienia trójcesarskiego przymierza, do zsolidaryzowania się w wstecznictwie, do akcji przeciw Zachodowi, albo też do wojny, której rezultatem Knesebekowska granica dla Niemiec, Egejskie morze dla Austrji. Przejdę teraz do innego, bardzo pospolitego a w ostatnich czasach coraz więcej się rozszerzającego przekonania, że niemieckie państwo i niemieckość są równoznaczące i że przeciwnik państwa niemieckiego w jego dzisiejszym stanie i z dzisiejszymi planami i tendencjami, musi być także koniecznie przeciwnikiem niemieckości.

Otóż za takiego wściekłego wroga wszystkiego, co niemieckie, zostałem obwołany i to właśnie ze strony organów mających pretensją, żeby je na serjo brano. Przecież ja, w którego żyłach płyną kulki krwi retycko-allemańskiej łatwiej mogę mieć zrozumienie i sympatję dla ducha i obyczaju przodków moich, mimo wszelkiej naturalnej assymilacji wynikającej ztąd, żem się pośród innego narodu narodził i wychował. A więc wypowiadam z całym naciskiem najzupełniejszego przekonania, że właśnie dla tego, iż owe nie dla każdego oka widzialne złote żyły ducha niemieckiego są mi znane, drogie i szacowne, iż młodość moja prowadzoną była przez niemiecką naukę, a mój późniejszy rozwój opierał się o wiedzę niemiecką, dla tego też powiadam, iż dzisiejsze oficjalne państwowe ramy, to państwo niemieckie wraz z jego powstaniem, zasadami i celami, uważam jako nieszczęsne zboczenie od ducha niemieckiego, nawet jako sfałszowanie niemieckości, a każde uderzenie na nowoniemiecki cezaryzm, jako obronę indywidualności niemieckiej, zagrożonej wyrodzeniem się i zagubą. Kto bezstronnie i z otwartemi oczyma przypatrzy się dzisiejszemu stanowi rzeczy w Niemczech, ten musi zadać sobie to trwożne pytanie: co się też stało z Niemcami Lessinga i Herdera, Kanta i Schopenhauera, jaką też płynną massę wytopiono z tego nieco twardego metalu szlachetnego i jakaż to forma, w którą ową massę wlać zamierzają. Niech mi tu nie przytacza nikt sławnego zdania Goethego o jego współczesnych Niemcach: »*Wie ehrenwerth im Einzelnen, wie lumpig im Ganzen*«. Był to paradoks, w rodzaju takich, które się nieraz z ust największego geniusza wyrywają. Niemcy 18. i połowy 19 stulecia umieli i w całości, politycznie i wojskowo, nie tylko że nie być „lumpig", ale dwa razy powstali, pod Fryderykiem Wielkim i w latach 1813 — 1815 i podnieśli się do wielkich, świat wstrząsających czynów; bo nie stracili wtedy nic ze swego bogatego indywidualizmu, który jedynie daje narodowi prawdziwą wielkość duchową.

Temu indywidualizmowi dzisiejsza forma rządu w Niemczech wydała wojnę celem jego wyniszczenia; stara mu się przeciąć nitki życiowe i wpycha go w formę przeciętną, która może daje najlepszy materjał do wykonania genialnie obmyślanych planów, lecz materjał ten popada w odrętwienie i stagnacją, skoro tylko kierujący geniusz znika, lub ustępuje cugle rękom niezręcznym.

Przyznaję, że pewne czyny historyczne i przewroty nie mogą być dokonane bez silnego skoncentrowania inicjatywy w nielicznych dłoniach, bez pewnego stopnia samowoli dyktatorskiej władzy, bez przemijającego pogwałcenia mass, nawet bez użycia środków, któreby były do odrzucenia, albo nad którymi przynajmniej zastanowić by się należało. Przyznaję najzupełniej, że jedność Niemiec nie dokonałaby się tak prędko i świetnie, a może nawet nie wyszłaby po za pragnienie setek tysięcy dzielnych sił ale rozproszonych; że do niej nie doprowadziłyby ani związki studenckie, strzeleckie, śpiewackie i gimnastyczne, ani *Schwarz-Roth-Gold* entuzjastów, ani parlamentaryzm bez ograniczenia wolności i pogwałcenia praw i zaciemnienia prawdy; do tego potrzeba było elementów rozkazujących i słuchających, trzeba było żywiołu pruskiego i militarnego. I jakkolwiek przyjaciel ludzkości może ubolewać nad tem, że jedność niemiecka zlepioną została tak obfitemi strumieniami krwi, lecz bez takiego cementu nie moglibyśmy sobie wyobrazić odbudowania gmachu.

Jeżeli więc nawet zechcemy rachować się ściśle z realną polityką, jeśli dyktaturę i użycie gwałtu uważać będziemy jako rzecz konieczną, aby wielki naród ze stuletniego panowania wielu, doprowadzić do jedności i do szczytu potęgi, to jednak mimo to owładnie bezstronnym obserwatorem obawa, co rok silniejsza, o rozwój ludzkości w przyszłości, gdy ma przed sobą widowisko, które daje państwo niemieckie po swem skonsolidowaniu. Nie napadany przez nikogo, szanowany i obawiany się w około, naród niemiecki nie ma uczucia pewności i spokoju.

*

Nielitościwie ciążące środki, które miały wyjątkowo służyć do osiągnięcia rzeczy nadzwyczajnej, do spełnienia i ukoronowania dzieła, jak militaryzm, centralizacja, ograniczenie swobody, powściąganie indywidualizmu, nareszcie pogarda cudzego prawa i cudzego dobra, środki te zastosowywane są ciągle dalej i na przyszłość do narodu, który dokazał rzeczy tak wielkiej i sądził, że po krwawym trudzie będzie mógł nacieszyć się swobodą i spokojem; pod tym żelaznym naciskiem charakter narodowy niemiecki zaczyna się transformować i grozi wyrodzeniem się.

Genjalny kierownik losów niemieckich, popełnił w słonecznych dniach powodzenia błąd nie do odpokutowania, od którego cała Europa kontynentalna, leży przygnębiona. Nie umiał i nie mógł połączyci zwycięztwa z umiarkowaniem, wielkości z wielkodusznością, nawet niezaprzeczonej potęgi z uczciwością. Anneksja Alzacji i Lotaryngji przeciw woli wszystkich mieszkańców i niewydanie północnego Szlezwigu mimo dobrowolnego zobowiązania się w traktacie pokojowym, są to grzechy, które wytworzyły ciągłe pogotowie wojenne wszystkich państw Europy, pożerające miliardy, a których dalsze działanie w przyszłości jest nie do obliczenia. Zatrzymanie 150.000 Duńczyków na biednym pasie północnym Szlezwigu połączone z jawnem złamaniem traktatu, a przeciw któremu poseł Kryger zakłada protest, słuszny wobec Boga i ludzi, przy każdem otwarciu posiedzeń Rady państwa i sejmu, jest można powiedzieć największem pogwałceniem prawa, które kiedykolwiek przez wielkie mocarstwo z chciwości popełnionem zostało. Lecz polityczna doniosłość tego wypadku nie odpowiada jego znaczeniu etycznemu, bo mała Danja musiała się poddać, a wielka Austrja poddać się zechciała. Inaczej rzecz się ma z anneksją Alzacji i Lotaryngji. Tutaj praktyczna strona popełnionego błędu ma przeważne znaczenie. Nie lekceważenie prawa stanowienia każdego narodu o samym sobie, które tutaj na jaw wystąpiło, jak przy wszystkich prawie zdobyczach i podziałach krajów, nie odwołanie się na stare historyczne prawa i na pierwotne pochodzenie mieszkańców, które logicznie prowadzić by musiało po nowej a nieszczęśliwej wojnie, do oderwania większej części prowincji pruskich, nie to wszystko jest fatalnem w tym ogromnym błędzie, lecz opuszczenie jedynej sposobności okazania się jednocześnie silnym, mądrym i wspaniałomyślnym. Fatalnem lest opuszczenie niepowrotnej chwili do zapewnienia się na przyszłość, co do przewodniczenia w europejskim koncercie ludów i co do trwałego pokoju przez zaniechanie przyłączenia opierającego się kraju; nałożenie kary w formie 5-cio miliardowej kontrybucji, co zresztą nie mogłoby być darowanem zwyciężonemu, zażądanie, aby wszystkie wschodnie twierdze francuskie były zniesione i zażądanie redukcji francuskiego stanu pokojowego do minimum, rozpoczęłyby rozwiązanie sprawy rozbrojenia w jedynie możliwy i praktyczny sposób.

Kto zna dzisiejszych Francuzów, tych prawdziwych Francuzów, nie karykatury wrzeszczące „Gloire“ i „Revanche“, które pokazują narodowi niemieckiemu w odpowiedniej chwili do rozzłoszczenia, jak owe czerwone szmaty, bykom, kto śledzi czynność pokojową, pracującej demokracji we Francji według wzoru amerykańskiego, szczególniej na prowincji, kto sam słyszał z ust najczerwieńszych radykałów, że Francja w r. 1870 zasłużyła na dobrą, gorżką lekcją, aby się oduczyła gorączki wojennej, ten nabierze niewzruszonej pewności, że wyżej wspomniane postępowanie, podane tam warunki pokojowe postawione ze strony niemieckiej po upadku Metzu, zrobiłyby z Francji szczerego i niezmiennego przyjaciela i sprzymierzeńca Niemiec Że, przypuściwszy tę ewentualność połączone Niemcy i Francja doprowadziłyby resztę Europy bez trudu do uspokojenia i do redukcji wojsk, to jasnem jest dla każdego, bo Austrja i Włochy uczyniłyby to dobrowolnie, a Rosja łatwo mogłaby być zmuszoną do zaniechania swych planów wschodnich. Któżby wątpił, że inicjatywa tego rodzaju zapewniłaby Niemcom trwałą przewagę i najbardziej uprawniony wpływ w Europie, któżby zaprzeczył, że taki obrót rzeczy, oszczędziłby ludzkości znaczną część nędzy, jaką od tego czasu przecierpiała, że z 14 miliardów złr. które w ubiegłych 9 latach wydane były na wojska, co najmniej 10 milliardów mogły być obrócone na uszlachetnienie i poprawienie rodu ludzkiego.

Gwałtem sprowadzone oderwanie Alzacji i Lotaryngji roztrwoniło te wszystkie dobrodziejstwa, które Niemcy miały w swojem ręku; oderwanie to, szczególniej czysto francuskiej Lotaryngji wywołało w świadomości narodu francuskiego myśli o odwecie i wskutek tego oddało na czas nieprzewidzianie długi losy Europy na pastwę zmiennych przypadków kombinacji politycznych i militarnych powodzeń. Razem z anneksją Alzacji i Lotaryngji ogłoszoną była permanencja pogotowia wojennego, a militaryzm postawiono jako systemat do stosowania w przyszłości. I ten, który zadecydował anneksję wiedział z góry jasno i dokładnie o tem wszystkiem. Przed jej wykonaniem, rozeszło się jeszcze ulotne słówko: „Zdobyliśmy Alzację i Lotaryngję w dwóch miesiącach, ale będziemy musieli być uzbrojonymi przez lat 50, aby te kraje utrzymać“. Świadomiej nie popełniono nigdy bardziej obfitego w skutki złego czynu. Zapoznanie prawdziwej wartości rzeczy: za wysokie oszacowanie przybytku 1 i pół miljona opierających się dusz, a więc przyrostu, który przypadłby Niemcom w 3—4 latach pokojowych od nadwyżki urodzin nad śmierciami, co się zresztą regularnie powtarza, — zanizkie oszacowanie niekorzyści 50cioletniego zagrożenia wojną, są to rzeczy tak uderzające w słowach największego męża stanu współczesnego, że o nich można powiedzieć, iż na nieoznaczoną przyszłość wycisnęły swe piętno na dzisiejszych Niemczech.

Gdyby się zechciano drastycznie przekonać, jak mało dzisiejsze państwo niemieckie reprezentuje ducha niemieckiego, to byłoby tobardzo zajmującem i pouczającem zadaniem, zebrać najwybitniejsze zdania, aksiomaty, sądy, przepowiednie, aforyzmy, z mów, not, poufanych zwierzeń, listów i inspirowanych wystąpień wyższych i najwyższych kół decydujących niemieckich od r. 1864 i przeciwstawić je takiemuż wyborowi filozoficznych, moralnych i politycznych poglądów najszlachetniejszych duchów niemieckich minionej, lepszej epoki. Wrażenie kontrastu musiałoby być pokonywające i podobnem by było do zestawienia maski kartonowej z medaljonem marmurowym. Czyżby naprzykład jeszcze na krótki czas przed 1866 uważano to za możliwe, żeby narodowi najbardziej filozoficznie na świecie wykształconemu ogłaszano z namaszczeniem powodzenia wojenne, które przypisać by należało temu lub owemu ulepszeniu lub przewadze militarnej, jako »*Gottes Fügungen*«, co mniej więcej stoi na jednej duchowej wyżynie z ową odpowiedzią nabożnej nauczycielki na pytanie wychowańca, dla czego nawet słaby deszcz wstrzymuje silny wicher: „Jestto dzieło opatrzności boskiej, która tym sposobem chce nam pozwolić, otworzyć nasze parasole“. (C. d. n.)

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

(Ciąg dalszy.)

Wróćmy teraz do głównego przedmiotu, t. j. elekcji po śmierci Jana Olbrachta, brata jego na króla polskiego. Mówiliśmy wyżej, że pierwszą czynnością drugiego brata, Fryderyka Prymasa, przewodnika rady koronnej, było zwołanie sejmików partykularnych. Ale wynik wyżej podany, jednego z tych zebrań nie był dobrą wróżbą, przeciwnie obawiać się kazał nowych komplikacji, w obec knowań węgierskich, wojny bliskiej z Prusami, gdzie nowo wybrany mistrz krzyżacki, wzbraniał się hołd złożyć, w obec W. ks. Litwy, stojącego pod obuchem Moskwy i kniazia Glińskiego. Tu zajmuje celujące stanowisko kardynał Fryderyk, jako mąż stanu, i rzeczywiście w tem świetle przedstawia się nam, odgadł on, że dyktatura w małych rozmiarach przy nowym wyborze będzie na swojem miejscu, że przedewszystkiem należy ścieśnić koło wyborcze, a gdy obok elekcji żywił kardynał zamiary dalej sięgające, bo jak niżej się okaże, miały Polskę i z nią Litwę złoczoną na stałych postawić fundamentach, musiał on w tym celu zapewnić się wspólnictwa Litwy.

Już od blizko lat stu, wybierano w Polsce królów, lub (jak to miało miejsce za Władysława Jagiełły (synom królewskim zapewniano sukcesję korony. Ale norma, według której ważne owe czynności odbywać się musiały, nie istniała. Rada koronna ogłaszała sejm elekcyjny, wzywała do udziału ziemstwa i miasta z prawa, czy zwyczaju do tego powołane (communitates terrarum et civitatum de jure et consuetudine ad electionem regiam pertinentium) ale jakie ziemstwa i miasta były powołane do tego, nie wiadomo. Miasta gdy brały udział, po największej części na piśmie przesyłały wota swoje. Ziemianie, wyjątkowo tylko stawiali się we większej liczbie. Głosowali gromadnie przez aklamację, i przy spornych elekcjach, głos ich często był stanowczym. Ogniskiem zaś głównem elekcji jak i innych narad sejmowych, była rada koronna, t. j. zgromadzenie dygnitarzy Państwa i Korony, dostojników duchownych i świeckich. Oni jedni wotowali każdy z osobna, kładli podpisy swoje na uchwałach. Również w zwykłych czasach ster rządu znajdował się w ich rękach. Nie mogło być inaczej, odkąd wstąpiła na tron dynastja Ignąca do swej dawnej dziedziny więcej niż do nowej, i której założyciel za nim

pierwsi jego następcy, zawsze dążyli do wycofania przyrzeczeń danych koronie, lecz za daleko sięgających [74]).

Rada koronna więc rozpisuje sejm do Piotrkowa na 14. września r. 1501 [75]). Stosownie do paktów dawnych, a za Jana Olbrachta odnowionych, zaprasza W. ks. Aleksander i radę litewską do wzięcia udziału w naradach i wyborze króla, poczem w porozumieniu z nią, zsyła na sejm Alberta Tabor, biskupa wileńskiego, Jana Zabrzezińskiego marszałka W. ks. wojewodę trockiego, i Mikołaja Radziwił, podczaszego litewskiego, z nieograniczonem pełnomocnictwem. Pierwsi dwaj byli Polacy [76]). Przyłączyli się później do nich Rusini: Aleksander Juriewicz woj. wileński, Piotr Olechnowicz, kuchmistrz W. ks., a jako świadkowie paktów układać się mających: Stanisław Pietkowicz, starosta brześcio- litewski, Jan Olechnowicz i Jan Kanonik w Trokach indigeni W. ks. [77]).

Ponieważ ster rządu i tak w silne dostał się ręce, postanowiono odłożyć do dalszego czasu elekcję króla, a zająć się przedewszystkiem, niektóremi naglącemi sprawami państwa. Najwięcej naglącą sprawą było bezwątpienia uregulowanie stosunku korony do Litwy, stosunku istniejącego od stu pietnastu lat, ale który potrącał prawie o śmieszność, pomimo że najżywotniejsze sprawy z nim związane były.

Król Władysław ślubując Jadwigę przyłącza (unit,) a w późniejszych edyktach najuroczyściej wciela, przywłaszcza („apropriamus incorporamus“) Litwę do Polski, co mu nie przeszkadza ustalić tamże W. Ks. Witolda, który z niej tworzy odrębne państwo. Po śmierci Witolda miała ona według ustawy horodelskiej stać się własnością Korony, a przeciwnie Świdrygiełło, najzaciętszy wróg tejże korony mianowanym zostaje W. księciem i on zrywa wszelkie z nią zawarte układy. Nastepca jego Zygmunt Kiejstutowicz przywraca Unię. Ale opór, który doznał, śmierć tragiczna jego aż nadto wykazały, że mała tylko cząstka Litwy, owi czterdziestu sześciu ziemianów, co się stawili w Horodle, słowem Litwa katolicka nowej daty przystała do korony Litwa ruska przeciwnie coraz groźniejszą przybierała postawę. Kazimierz Jagielończyk podczas półwiekowego panowania nie zapomniał na chwilę, że był pierwej W. księciem niż królem i dzierżył oddzielnie berłem swej dziedziny. Zamierzał nawet ustalić ten rozbrat przekazując w ostatniej swej woli starszemu synowi Polskę, młodszemu Litwę. Za króla Olbrachta Unja nie istniała. W przywileju ziemskim Wgo ks. Aleksandra wydanym dla Litwy r. 1492 (§ 18), Polska między kniaźtwami Twer i Riezan, Hordami Tatarów perekopską i zawolską policzona do państw zagranicznych (partes exteras) z któremi za przyzwoleniem rady swej W. Ks. może wchodzić w dyplomatyczne stosunki. A przytem, spór zacięty toczył się od wieku na zjazdach i sejmach o *Podole* skolonizowane przez Polaków, którego zwrotu Litwa o Wołyń, którego zwrotu korona domagały się.

Zamęt więc niezaprzeczenie wielki. Aby go uchylić, kardynał przedkłada sejmowi, właściwie radzie koronnej, projekt ustawy, której główna treść następująca: Królestwo polskie i W. księstwo litewskie stanowią odtąd jedno nierozdzielne i jednorodne ciało. W nim panować ma jeden król, rządzić jeden sejm, w obiegu być jedna moneta, król będzie w oznaczonym czasie i miejscu *przez tych wybranym, którzy się na elekcję zjadą*. Każdy biskup, wojewoda i kasztelan w Koronie i W. księstwie, ma przy elekcji króla, w oznaczonym porządku wotum swe oddawać [78]).

Jakże dobitnie odróżnia się ta ustawa od jej poprzedniczek, owych szumnych z pozoru a rzeczywiście mdłych, tyle razy ponawianych Unji. Niewłaściwie też nazwano ją także Unją, który wyraz uosabia dwa ciała co się między sobą łączą. Ona zaś wyrokuje *zlanie* w jedno wielkie państwo Litwy z Koroną. Wyprzedzała o lat siedmdziesiąt Unję lubelską, a o tyle od niej wyżej stojąc, że wyrokowała jednolitość, a przeto usuwała sporne kwestje terytorjalne, kiedy przeciwnie Zygmunt August samowolnie przeciął owe spory, przyznając jako wieczystą własność Koronie to, co jej nie było, a dopiero pozostałość W. ks. z Koroną połączył.

Litwa nie miała powodu mienić się ukrzywdzoną. Król polski mógł jak w przeszłości nosić przytem tytuł W. ks. W ustępie 15. ustawy, warowano, że przy każdej koronacji obok praw Korony i prawa W. ks. zapszysiężone będą. Pewna posiłków Korony, mogła śmiało stawiać czoło Moskwie i Tatarom, a przy tym zwrocie prawo dziedziczne do tronu dynastji Gedyminowej służące, ów klejnot Litwinów naruszonym nie zostało, bo W. ks. Aleksander, udzielając swą aprobatę ustawie przyrzeka, że ona i potomstwo jego obowiązywać będzie [79]). Tak więc dziedzictwo tronu w jednej dynastji i Polsce niespodzianie otrzymało w tej ustawie swoją sankcję. Ale i w tem wyższość nad unią lubelską, co ustanowiła tron elekcyjny, gdy Zygmunt August zrzekł się dziedzictwa tronu w Litwie [80]).

Przedłożona ustawa kardynalska dała powód do długich rozpraw rady koronnej z posłami litewskimi na sejm zesłanymi. Bez wątpienia naradzano się przytem nad projektem ustawy równie ważnej niewiadomego autora, która ścieśniała władzę królewską, rozszerzała i wzmacniała władzę rady koronnej i którą dla niepewności, jak będzie przyjętą, w głębogiej trzymano tajemnicy [81]). Ale nakoniec przyszła pod obrady sejmowe 3. października r. 1501 i w tym dniu uzyskała pod niewłaściwem mianem Unji Litwy z Koroną sankcję zgromadzenia, jak świadczą dwa jednobrzmiące zapisy, które pod tą datą, jeden przez sejm, drugi przez delegatów litewskich wydane zostały [82].

Po załatwieniu tej sprawy, przystąpiono do elekcji króla. Sprawa drażliwa, bo gdyby wybór nie padł na W. księcia Aleksadra, Litwa, którą dopiero co zlano w jedno ciało na papierze z Polską, odpadłaby od niej w rzeczywistości i tem też grozili delegaci litewscy [83]). Pomimo to bracia Aleksandra, Włydysław, król Węgier i Zygmunt, mieli także licznych partyzantów [84]). Aby więc zapewnić wybór Aleksandra uradzono porządek Elekcji, któren nas doszedł w redakcji bardzo niezgrabnej, lecz treść onego niezaprze-

---

[74]) Długosz z powodu zaślubin Jadwigi z Jagiełłą, mówi, że Bóg Polaków za to dotknął nierządem i królami, którzy więcej sprzyjają Litwie niż Polsce obdarzył.

[75]) To wypływa z dokumentu, który znajdował się w archiwum państwa (Obacz Skarbiec Litwy str. 258. t. II.) W cennej rozprawie zaś p. Michała Bobrzyńskiego sejmy Polskie, za Olbrachta i Aleksandra (Atheneum Warsz. Z. 4. 1876) podana data 5. września według rękopisu w posiadaniu p. Szujskiego czł. Akad. Um. będącego.

[76]) Kronika Wapowskiego. Skarbiec Litwy t. II. str. 258. 60. Pełnomocnictwo W. księcia jest z 24. sierpnia r. 1501.

[77]) Kodeks dyplomatyczny Polski t. I. Dok. 197. r. 1501.

[78]) Na pierwszy rzut oka wydaje się tu oczywista luka bo niepowiedzianem kto ma właściwie na elekcje króla wotować, ale bo zamierzano, jak dowodzi porządek koronacyjuy jednocześnie ułożony, (o którym niżej mowa) ograniczyć prawo elekcji na dostojników duchownych i świeckich, nie chcąc zaś przytem jasno to wypowiedzieć. To było powodem tej sztucznej stylizacji: «Unus rex in loco et tempore assignatis per praesentes ad electionem convenientes votis communibus eligatur... Item quilibet episcopali, palatinali, castellanique dignitate insignitus in eligendo rege perpetu's temporibus votabit juxta locum sibi assignatum». (Volum. leg: pod r. 1501. Zbiór praw litewskich wyd. Poznańskie — Codex diplomat. Polski t. I. — a w Skarbcu Litwy t. II. dok. 2137 i 8. w języku polskim.

[79]) Promittentes verbo nostro ducali et sub onere per nos prestiti juramenti nos et nostros successores unionem dominiorum praedictorum, prolis nostrae et nostrorum successorum multiplicatione non obstante, unius domini utrique dominio praesidentia perpetue duraturam. (Vol. legum. r. 1501).

[80]) Za tę szczytną ustawę, pomimo, że bez autora winy do skutku nie przyszła, Stryjkowski w swej kronice poświęca kardynałowi następujący nekrolog: «Tegoż roku umarł Fryderyk, królewicz, Aleksandrów brat, kardynał etc. wejrzenia wdzięcznego, godności pełen, ale rozumu nikczemnego, próżnujący w pijaństwie. Wiek swój w dymie i smrodliwem mieszkaniu trawiąc, ze sobie podobnem towarzystwem, jak Miechovius twierdzi długą niemocą francuską trawiony». Jeżeli to wszystko prawdą, smutnie przedstawiają się obyczaje wyższego duchowieństwa w wieku XVI.

[81]) Ustawa owa nazwana Mielnicką, bo w Mielniku W. ks. Aleksandrowi do aprobaty podaną została. Rozbiór jej jak i sejmów za królów Olbrachta i Aleksandra, pióra p. Michała Bobrzyńskiego znajduje się w piśmie zbiorowem Ateneum nar. 1876. Zeszyty 4. i 5. Z niniejszą rozprawą nie stoi ona w styczności, bo już po wyborze Aleksandra na króla Polskiego sankcjonowaną została. Zresztą prócz w dziele Bandtkiego «jus polonicum» znajduje się ona w tłumaczeniu Polskiem, w Skarbcu Litwy tom II. dok. 2140 — data jej 25. października r. 1501 i z ustawą w tekscie analizowaną, ma to wspólnego, że w życie nie weszła.

[82]) Kodeks dyplomatyczny Polski Rzyszczewskiego t .I. Ciekawe podpisy na dokumencie przez Radę koronną wydane, gdyż uwidoczniają skład sejmu. Byli to: dwóch Arcybiskupów, z tych prymas był oraz Biskupem krakowskim a Arcybiskup lwowski biskupem przemyskim. Pięciu biskupów, z tych kujawski był kanclerzem państwa; 13. wojewodów, między tymi krakowski — Piotr Kmita, marszałek państwa — 17 kasztelanów, podkanclerzy marszałek dworu, podkomorzy krakowski.

Ci wszyscy stanowili radę koronną, wydali ów zapis, obowiązali się w imieniu narodu wiernie go dotrzymać. Prócz tego podpisali się 6. duchownych niższej rangi, 6. starostów między tymi Jan i Stanisław ze Sprowy, dzierżyli wspólnie starostwo w Opocznie, i jak zapis głosi, wielu innych prałatów, wojskowych, szlachty, ziemianów i indygenów korony polskiej. Delegaci litewsey wyżej wymienieni zostali.

Miechowita o tej ustawie dokładnie był informowanym. Mówi ustęp 80. factis ergo articulis in Piotrkow cum Alberro episcopo Vilnensi et Joannes Zabrzeżyński mareschalco Lith. super invisceratione et perpetua unione Lith. cum regno Poloniae, ut ex utrisque foret unum regnum et una gens et in ipsis unus rex unumque jus — Jakże to jędrne i dokumentami stwierdzone podanie odbija od kroniki Wapowskiego, który ignorując ustawę sejmową i przez W. ks. przyjętą, mówi tylko, że delegaci litewscy w celu przeprowadzenia wyboru Aleksandra obiecywali odnowienie unii. Stryjkowski zasłyszał tylko coś o tej ustawie i baje, że panowie litewscy koło odnowienia przymierza z koroną listy ukazali pod pieczęcią Aleksandra i 25 panów litewskich, aby z Litwy i Polski jeden był naród pod jednego pana władzą i jeden sejm.

Kojatowicz równie mówi tylko o gotowości Litwinów odnowienia dawnych paktów.

[83]) Sin praeteretur, rescissuri, mówi Kojatowicz t. j jeżeli Aleksander wybranym nie będzie, zerwą ugodę.

[84]) Wapowski.

czenie wskazuje, że nie sejm zgromadzony, ale jedynie dostojnicy świeccy i duchowni, głosy swe na króla oddawać mają. Po odbytej bowiem naradzie (oczywiście z radą koronną) i w obecności ks mazowieckiego, Wojewody multańskiego i innych książąt i baronów (zapewne posłów władz zagranicznych) prezydujący kardynał ma odczytać dekret Elekcji W. ks. Aleksandra na króla polskiego, który elekt ma zatwierdzić prawa Litwy i Korony. Na ten wniosek, wszyscy wotować będą z miejsc swoich. Wiadomo zaś, że ustawa z 3. października r. 1501 o zlaniu Korony z Litwą w jedno ciało (§ 2) jednym Panom rady daje prawo wotowania z miejsc swoich. Skoro jednozgodność wołów nastąpi, marszałek ogłosi wszystkim (j. j. sejwowi zgromadzonemu) wybranego Pana, a ci wykrzyknąć go *powinni* [85]),

---

Przepis ów co do elekcji, nosi datę 10. października. W którym dniu wybór Aleksandra nastąpił, o tem milczą upornie kroniki. Niżej wykażemy, że miał miejsce między 10. a 23 tegoż miesiąca, ale owe kroniki w tem zgadzają się, że wyłącznie rada koronna go dokonała. *Stryjkowski* mówi: »*Panowie koronni* Aleksandra, spólnemi głosy królem obwołali« *Wapowski*: »*proceres* Alexandrum regem *promulgarunt*.«

Najwięcej wiarogodny i najbliższy swych czasów *Miechowita* zaś *w pierwotnem* wydaniu swojej kroniki z nieutajoną goryczą i z tajemniczemi alluzjami, mówi tak o tem: Za poradą niektórych, pierwsi możnowładcy w Rzeczpospolitej, Fryderyk kardynał i Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski i kanclerz ze swoimi adherentami wybrali Aleksandra królem Polski, w nadziei jak to są ludzie, ztąd wynikających korzyści. Ale zawiodły ich nadzieje bo wkrótce potem zeszli ze świata [86]). (C. d. n.)

---

[85]) Mareschalcus debet exire ad comunitatem publicando electum dominum quem communitas debet exclamare. Według inwentarza Warszewickiego Ob. Skarbiec Litwy t. II. dok. 2139 rok 1501.

[86]) «Suasu quorumdam (ściąga się to do posłów litewskich jak niżej) ductores reip. potentiores Fredericus cardinalis Primas, Creslaus de Curozwanki pontifex Vladislawiensis, cancellarium regni cum sibi adherentibus Alexandrum ducem Lith. in regem Poloniae substituerunt et elegerunt spe utilitatis ut homines fuerunt illecti delicias tamen dominii nec quod sperabant habebant — brevi siquidem defuncti sunt.

Tak było w pierwotnem wydaniu tej kroniki. Wiadomo zaś, że gdy wiele ustępów, pomiędzy temi i powyższy, nie podobały się kilku z owczesnych dostojników, przeto za ich radą, autor cofnął to pierwotne wydanie i zastąpił drugiem, w którem niedogodne ustępy zmienione zostały. Pomiędzy temi ów wyżej podany, w drugiem wydaniu opiewa: «Ideoque cum universi regnicole ad quod pertinet deliberarent non solum pro eligendo rege, sed primum ad modo utraque dominia ista ab Christi infidelibus defendendi et de eorum unionis integratione sicut tempore avi patrui, ac patris modernorum principum Alberti praemortui et Alexandri inducta et firmata craut, cunctisane consultum si ob hoc gentes vires et opes utriusque domini adunarentur. Qualpropter Alexandero M. D, L. istud per Albertum Tabor episcopum, Joannem Zabrzeżyński M. D. et Michaelem Radziwiłł pincernam Lith. consiliarios coram universo coetu electionis proponente — Alexander communi omnium clamore rex erat declaratus».

Cały ten ustęp dąży do wykazania, że nie przez radę koronną, ale przez sejm zgromadzony, Aleksander królem wybrany został. Kto ma słuszność — pierwsze czy drugie wydanie? trudno zaprzeczyć, że pierwsze.

Przytem niech wolno będzie wyrazić życzenie, aby pierwotwór t. j. najpierwsze wydanie kron. Miechowity, którego jedyny egzemplarz kompletny znajduje się w Jagiellońskiej bibliotece, jeżeli nie w całości, to przynajmniej od r. 1480, na którym kończy się Długosza dzieło za pośrednictwem akademii Umiejętności wydanym został, i to text w całości jednym ciągiem, w notach zaś warjanty drugiego wydania, bez wyjątku. Na to zasługuje Miechowita. Pierwszy uwagę na ten przedmiot zwrócił p. Aleksander Hirszberg w wielce cennej swej rozprawie «O życiu i Pismach Justa Ludwika Deciusza» (Lwów 1874). Co w tym kierunku dotąd uczyniono z wdzięcznością przyjąć należy, ale najskromniejszym wymaganiom naukowym nie odpowiada.

Gdyby do tego dały się przyłączyć odpowiednie wyjątki z archiwów X. Radziwiłłów w Nieświeżu (a o bogactwie tego archivum świadczy dzieło Gołębiowskiego panowanie Jagiellonów l. 3), toż samo z archivum X. Czartoryskich, natenczas dopiero będzie można wyświecić ciemne i zagadkowe w wielu względach dzieje panowania Jana Olbrachta i Aleksandra.

NIEKONSEKWENCJA P. DROMMEL.

NOWELLA

przez

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy).

III.

Wszyscy się na to zgadzają, że owego wieczoru zasiadło ich czterech do stołu; jest to już zresztą faktem historycznym, nieulegającym zaprzeczeniu.

Wysiadłszy z powozu niewypowiedzianie głodny, pan Drommel wpadł do kuchni i zażądał aby mu natychmiast podano objad. Gospodyni, której filozof nasz nie przypadł do gustu, nie robiła z nim wcale ceremonji. Oświadczyła mu, że w jej domu nie prowadzi się kuchni dla oddzielnych stołowników, że opóźniający się na table d'hote, muszą następnie jeść razem, i że nie poda obiadu dopóki nie nadejdą pan Taconet i mały Lestoc. Pierwszy z nich był jej cioteczno-wujecznym i przejętą dlań była wszelkim szacunkiem na jaki zasługiwał; drugi zaś to jej faworyt. Odczuła w nim młodzieńca, mającego świetną przyszłość przed sobą, stawiała go też po nad wszystkich swoich stołowników, pieściła go i dogadzała mu jak feniksowi mającemu świat cały zapełnić swoją sławą; na szyldzie swym nawet gotowa była wypisać: „Tu mieszka i stołuje się mały Lestoc."

Z tych zatem powodów dała do zrozumienia panu Drommel, że dopóki nie przyjdzie mały Lestoc, nikt ani nie powącha obiadu. Filozof oburzył się i zaprotestował, na co otrzymał odpowiedź, że jeśli mu się tu nie podoba, może sobie szukać mieszkania gdzieindziej. Gospodyni była osobą popędliwego charakteru, on doprowadzony do ostatnich granic gniewu; i gdyby nie wdanie się księcia Malaserra, Bóg wie do czego byłoby przyszło. Szczęściem, książe miał prawdziwe wielkopańskie obejście się; z niewymowną słodyczą pogodził zwaśnionych, zażegnał burzę i ugłaskał pana Drommel.

— Kochany panie — rzekł doń ze śmiechem — bądź pan filozofem jak ja. Jeśli coś nie idzie według mej myśli, staram się zastosować do okoliczności.

Tymczasem nadszedł pan Taconet a wkrótce po nim mały Lestoc, całe więc towarzystwo zesiadło do stołu, oprócz pani Drommel, która czując większą potrzebę spoczynku aniżeli posiłku, oddaliła się do swojego pokoju.

Podczas pierwszego dania, nikt słowa nie przemówił; słychać tylko było brzęk noży i widelców. W króciutkich przestankach, pan Taconet śledził z pod oka księcia Malaserra; książe egzaminował ukradkiem artystę, mały Lestoc przyglądał się panu Drommel, ten ostatni zaś nie widział nic oprócz talerza. Kiedy już jednak pochłonąwszy ogromną porcję potrawki z kurcząt, zaspokoił pierwsze gwałtowne upominania się żołądka, i kiedy uczuł w swych żyłach łagodne ciepło doskonałego wina Bordeaux, zły humor jego ustąpił jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, rozruszał się, i niecierpliwie oczekiwał na sposobność rozpoczęcia dyskusji, lubił bowiem rozprawiać przy jedzeniu, aby, w myśl zasady— *utile dulci* — delektując się smacznemi potrawami, wywoływać jednocześnie podziw drugich swoją djalektyką.

Pożądaną sposobność dostarczył mu niebawem pan Taconet, opowiadając treść świeżo wydanego wyroku na kłusownika schwytanego w lesie na gorącym uczynku.

Pan Drommel słuchając tego opowiadania, zapłonął oburzeniem, nadął policzki, nozdrza mu się rozszerzyły, a oparłszy oba łokcie na stole, zawołał:

— Otóż to są piękne owoce naszej cywilizacji!

— Co pan przezto rozumiesz? — zapytał Taconet, spoglądając nań z boku.

— To — odpowiedział — że ubolewać tylko mogę nad tak zwaną naszą cywilizacją, którą właściwie nazwać wypada wiekiem barbarzyńskim, w którym państwo karze ludzi za to, że nie umie ich wychowywać.

— Jesteś pan więc zdania, że nie należy karać nikogo?

— Jestem zdania i twierdzę, że w smutnem społeczeństwie w jakiem żyjemy, marnuje się niezmierna masa użytecznych sił, że więzienia przepełnione są ludźmi talentu, których zdolności nie umiano odpowiednio spożytkować. Zastanów się pan tylko: założyłbym się o sto przeciwko jednemu, że człowiek o którym pan mówisz, jest człowiekiem wielkich zdolności, że został kłusownikiem, jedynie dla tego, że czem innem zająć się nie mógł.

— Wychodząc z tej zasady, to i fałszerzem pieniędzy...

— Czy możesz pan odmówić im talentu? Jako żyw jestem, nie wątpię ani na chwilę, że w przyszłości prawodawca będzie umiał talent ich zużytkować dla dobra ogółu.

Były komisarz, wielce rozdrażniony, wykrzyknął:

— Niechaj Bóg czuwa nad złodziejami. Prawodawca przyszłości powierzy im bezpieczeństwo naszych kieszeni.

— Czy nie raczyłbyś pan — przerwał z sardonicznym uśmiechem pan Drommel — powiedzieć mi co to jest złodziej?

— Eh, do djabła! złodziej, to...

— Ah, nie klnij pan — przemówił zwolna mały Lestoc, bacznie przysłuchujący się rozmowie, chociaż zdawał się wcale na nią nie zważać — nie, nie, nie klnij pan! Moja ciotka Dorota, która pielęgnowała mnie w dzieciństwie, utrzymywała zawsze, że przekleństwo sprowadza nieszczęście.

— Szkoda żeś pan przerwał szanownemu memu interlokutorowi, gdyż byłby mi powiedział, że złodziejem jest ten kto przywłaszcza sobie cudzą własność — mówił dalej pan Drommel. Spodziewałem się takiej odpowiedzi i miałem już na nią przygotowany zarzut, że w takim

razie państwo jest złodziejem, skoro wywłaszcza ludzi w celach użyteczności publicznej.

— Nie byłem nigdy i nie jestem zwolennikiem sofizmów i sofistów — odparł pan Taconet, zirytowany szyderczemi przymówkami socjologa.

Malarz przerwał mu znowu zimnym i poważnym głosem:

— Ależ, przez litość, nie gniewaj się pan — widzisz pan przecież, że i ja się nie gniewam, pomimo że teorje naszego szanownego współbiesiadnika... czy wolno mi zapytać o nazwisko pańskie?

— I owszem, młodzieńcze, i owszem; nazywam się Drommel.

A potem dodał ze skromnością:

— Nazwisko to cieszy się w Niemczech pewnym rozgłosem i powagą, ale wątpię aby doszło ono aż tu, do Barbison.

Lestoc skłonił się głęboko.

— Czy podobna! to pan nim jesteś? Ah! powinienbym był się tego domyśleć! Ale doprawdy, krzywdzisz nas pan; za kogoż to nas pan bierzesz? Jakże możesz pan przypuszczać, że jesteśmy tak mało obznajomieni z współczesną literaturą, abyśmy nie słyszeli nigdy o wielkim filozofie, o głębokim myślicielu, o znakomitym publicyście, założycielu rozgłośnego dziennika „Światło“, dziennika, który od dawna pragnąłem zaprenumerować?

Słuchając tych słów pan Drommel nabrał zaraz najlepszej opinji o młodzieńcu tak wielce ukształconym i zwrócił ku niemu łaskawe spojrzenie. Nie domyślał się wcale, że wszystkie owe wiadomości są świeżej daty, zaczerpnięte wśród cieniów lasu.

— Wszystko to jednak nieprzeszkadza — mówił dalej Lestoc — że pomimo znakomitej powagi nazwiska, teorje pańskie wydają się mi okropnemi, strasznemi, nagannemi pod każdym względem. Ja się nie gniewam, tak jak pan Taconet; ale zdanie wypowiedziane przez pana o kłusownikach gorszy mnie djabelnie.. Przepraszam, cofam ten ostatni przysłówek, gdyż moja ciotka Dorota nie lubiła go.

— Czy na prawdę cię gorszą? — zapytał pobłażliwie pan Drommel, który niezmiernie lubił słuchaczy gorszących się bez gniewu; to było najmilsze dla niego auditorjum.

— Cóż pan chcesz? Są to następstwa mojego wychowania. Urodziłem się w Perigny, w samym środku wioski, naprzeciw kowala, w domu pod wielką gruszą. Czy pan znasz Perigny? znasz pan kowala? znasz pan wielką gruszę?... Nie, tak samo jak pan nie znasz ciotki Doroty, która mnie, jak już mówiłem, wychowywała. Była to panna bardzo zacna, mająca zasady i trzy długie włoski na brodzie, a ważyła dwieście funtów, wliczając w to już trzy włosy i zasady.

— Dwieście pięćdziesiąt — mruknął pan Taconet.

— Dwieście, panie — odparł urażonym tonem — a kiedy ja mówię że dwieście, to dwieście. Otóż, moja ciotka Dorota, przez jakieś dziwactwo, nie lubiła złodziei i nigdyby nie ścierpiała, aby ich dopuszczono do władzy. Skoro już są przy niej, nie miała nic do zarzucenia przeciw zostawieniu ich w szeregach rządowych, ale żeby ich tam umyślnie wprowadzać, na to zgodzić się nie mogła. Nie potrzebuję dodawać, że od dzieciństwa wpajała we mnie poszanowanie cudzej własności, a ja wierzyłem we wszystko to co mi mówiła, i dziś jeszcze wierzę tak samo.

— Nie wątpię ani na chwilę — odpowiedział pan Drommel — że panna Dorota była osobą nieskończenie zacną, ale przyznać musisz, drogie dziecię, że nie była dość silną w djalektyce. Inaczej wiedziałaby, że własność nie jest prawem pierwotnem, że jest wymysłem ludzkim, i że wolno nam jest zreformować ją zgodnie z prawami natury.

W tem miejscu przemówił książę Malaserra, który dotąd nie brał udziału w rozmowie.

— Na Boga — zawołał — pan mnie przerażasz! Własność, kochany przyjacielu, jest ona mojem bóstwem, a pan chcesz ją unicestwić. Jesteś pan dzielnym logikiem, najdzielniejszym ze wszystkich, jacy kiedykolwiek istnieli na świecie; odgadłem to jeszcze w powozie; ale i djabeł bywa logikiem, jak powiedziano w *Boskiej komedji*. Przepraszam cię, drogi przyjacielu, żem cię porównał z djabłem, ale powtarzam, jestem przerażony.

Panu Drommelowi niezmiernie przypadło do gustu, że książę dwukrotnie nazwał go swoim przyjacielem, i to wobec świadków. Zarumienił się z rozkoszy, a spoglądając na księcia czułem okiem gruchającego gołębia, odpowiedział:

— Przepraszam najuprzejmiej Waszą Łaskawość, ale ja bynajmniej nie znoszę własności, tylko ją udoskonalam. O cóż tu idzie? Spornym punktem w tej kwestji jest żądanie, aby ziemia produkowała tyle, ile produkować może, i aby własność dostępną była dla kazdego. Chciej mnie pan tylko zrozumieć a zgodzisz się na moje wywody. Przypuśćmy, że jakiś próżniak odziedziczył po swoim ojcu grunt, z którego nader lichą ciągnie korzyść. Dajmy na to, że nazywa się on X, jeżeli książę nie ma nic przeciwko temu. Ktoś inny, nazwijmy go Z, człowiek utalentowany, nic nie odziedziczył i nie ma sposobności zużytkowania swoich zdolności. Otóż Z, jest przekonany, że gdyby stał się właścicielem owego gruntu, podwoiłby jego wydatność, i byłby w możności płacenia z niego państwu dwakroć większego podatku. Czyż nie leży w interesie państwa i ogółu społeczeństwa, aby grunt odebrać niedołężnemu X, a oddać zdolnemu Z? Kiedy wywłaszczenie na cele dobra publicznego zastosowane zostanie w całej rozciągłości, produkcja ziemi w dziesięćkroć się pomnoży, a skoro każdy będzie mógł zostać właścicielem, nie będzie już złodziei.

— Z wyjątkiem owego X — zawołał pan Taconet, coraz więcej zirytowany.

— Znajdziemy dla niego jakieś zajęcie — odrzekł z lekceważeniem pan Drommel — a zresztą muszę przyznać, że X bardzo mało mnie obchodzi. Biada tym, których siły nie podołają w walce o byt! Prawo silniejszego, jest najświętszą ze wszystkich zasad, bo na tym świecie jedynie siła jest motorem tak w społeczeństwie jak w przyrodzie.

Powiedziawszy te słowa, zwrócił spojrzenie pełne uwielbienia i zachwytu na olbrzymie swoje pięści i długie ramiona, tak potężnie rozwinięte, iż wyobrażał sobie, że wyrwać dąb z korzeniem, drobnostką byłoby dla nich. W tej chwili podano na stół pieczone skowronki. Pan Drommel przysunął do siebie półmisek, położył na swój talerz trzy czy cztery ptaszki i schrupał je w mgnieniu oka, a tylko kosteczki trzeszczały pod działaniem pracowitych jego zębów. Zdawało mu się, że i te skowronki tak samo jak on wierząc w świętą zasadę prawa silniejszego, winszowały sobie, że przeznaczonem im było sprawić przyjemność żołądkowi wielkiego męża, i wcielić się w znakomitą jego osobistość.

Przyglądający się tej operacji książę Malaserra, zadrżał powtórnie i zawołał:

— Ah! wielką, bardzo wielką wyrządzasz mi przykrość, drogi przyjacielu! Ależ pomyśl no o majątku Malaserra! Co to za piękna posiadłość! Wszystko się w niej znajdzie: i winnice, i drzewa oliwne, i łany zbożem okryte, kłosy złociste i pomarańcze wielkie jak dynie. Oh! Malaserra, to moje cacko ukochane! Mam pałac w Palermo... nawet dwa pałace. Ale co one dla mnie znaczą w porównaniu z Malaserra! Przyznam ci się, mój drogi, jakbym powiedział to najlepszemu memu przyjacielowi, że gdyby taki Z, zażądał odemnie Malaserra, a ja miałbym przypadkiem broń w ręku, no, mówię ci, nie ręczyłbym za nic. Ale, nie mówmy o Malaserra; pomyśl, mój przyjacielu, o moralności. Moralność, to ona jest człowiek! Panowanie własnością, ono jest najświętszem z uczuciów. Co to jest rozróżnienie co *moje*, a co twoje? to ono jest arką świętą, to palladjum, to opiekuńcza czatownia, chroniąca ludzi uczciwych jak my, to fundament społeczeństwa, to...

Zapalony Włoch byłby dłużej rozprawiał. ale nieszczęściem, pan Taconet wlepione miał w niego oczy.

Mówcie sobie państwo co chcecie, ale temu, kto przez dwadzieścia pięć lat był komisarzem policji, zostaje zawsze coś w spojrzeniu, co człowieka irytuje. Ja sam nie wiem, jak to nazwać właściwie, ale że to coś nie musi być bardzo przyjemnem, najlepszy mamy dowód w tem, że książe Malaserra przestał nagle mówić, jak człowiek wyższego świata, nieprzywykły do obcowania z ludźmi w rodzaju p. Taconet.

Nagłe zmieszanie się księcia, pan Drommel policzył na karb niepokoju jego o Malaserra; pośpieszył więc upewnić go słowem honoru, że przyszły prawodawca nie wydziedziczy go, nie odbierze mu żółtych jak złoto kłosów, ani wielkich jak dynie pomarańcz.

— Jestem dobrym fizjognomistą — dodał — odrazu też poznałem, że książę musisz być doskonałym agronomem. Proszę mi zaufać; Malaserra pozostanie nietknięte, gdyż ziemia należeć winna do najgodniejszych. Jeszcze raz powtarzam: własności nie znoszę, tylko ją w obieg puszczam.

— Czy w Niemczech jest ona już w obiegu? —zapytał Lestoc.

Pan Drommel westchnął głęboko.

— Niestety! — rzekł — Niemcy rządzone są jeszcze przez starych przesądnych zacofańców; ale one otrząsną się z tego i pierwsze dodzą hasło do wielkiej emancypacji.

— Courbet, wielki Courbet — odpowiedział malarz — uczynił mi przed laty wielki zaszczyt, iż raczył wdrapać się do mojej pracowni na poddaszu, aby zobaczyć pierwszy mój obraz, będący, mówiąc między nami, dość lichą bazgraniną.

— Młodzieńcze, rzekł mi, kładąc na mej głowie tę samą dłoń która później zwaliła Kolumnę, — twój obraz podobał mi się, piękny jest jakby był pędzla Tycjana. — Niewiedziałem gdzie się podziać z dumy i radości; chciałem już wołać: — Mistrzu! przytul mnie do swego serca! Ale mistrzu na nieszczęście — dodał jeszcze:

Tylko do Tycjana daleko ci jeszcze, młody kolego.

— No tak, Niemcom daleko jeszcze do celu — przywtórzył pan Drommel, ale dojdą one do niego; dziś zmrok u nas jeszcze panuje, jutro słońce wzejdzie. Pomiędzy wszystkiemi narodami jedni Niemcy odznaczają się charakterem realistycznym, poczuciem syntezy.

I dodał pożerając piątego skowronka:

— Nie łudźcie się panowie; synteza to germańska zwyciężyła was pod Sedanem.

Pan Taconet niósł właśnie kieliszek z winem do ust, ale cofnął rękę i tak gwałtownie postawił kieliszek, że omało go nie stłukł; jednocześnie zaś ciemne oczy jego zapałały błyskawicą gniewu. Uspokoił się wszakże natychmiast i poprzestał na mruknięciu:

— Cierpliwości!

— Kiedy już o tem mowa — zagadnął znowu Lestoc, chciałbym też wiedzieć co poczniemy z rodziną?

— Nie usuwam jej, tylko ją doskonalę; państwo bowiem zajmie się wyżywieniem i wychowaniem dzieci.

— A cóż z małżeństwem się stanie? zniesiemy je?

— Małżeństwo, mój drogi, to najniedorzeczniejszy ze wszystkich przesądów, największy zamach na wolność mężczyzny i kobiety. W miejsce małżeństwa stawiam miłość wolną.

— Zgoda; więc tak samo jak własność, puszczamy kobietę w obieg.

— Czy wolno będzie mieć kilka żon? zapytał z kolei pan Taconet.

— Bierzesz pan zawsze moją myśl na opak — odrzekł cierpko pan Drommel. Miłość jest w gruncie rzeczy indywidualną, a jedyna polygamja zgodna z naturą jest kolejna odmiana przedmiotu tej miłości. Człowiek nie ma prawa rozporządzać raz na zawsze swoją osobą ani wolą; bo osoba jest rzeczą świętą, a wola, z samej natury swej, bywa zmienną. Prawo nie uznaje ślubów zakonnych, a prawodawca przyszłości nie uzna ślubów małżeńskich i na czele swojej konstytucji wypisze wielką zasadę skłonności doborowych. — W człowieku wszystko jest chemją.

— Doskonale! — rzekł pan Taconet. Z. czuje skłonność do żony X. tak samo jak do jego gruntu; oddamy mu więc i grunt i żonę.

— A kto panu powiedział — odparł p. Drommel, że żona Z. nie czuje takiej samej skłonności do X. — Za jednym zachodem czworo ludzi będzie uszczęśliwionych.

— Czy w Niemczech zdarza się kiedy zamiana żon? — zapytał artysta.

— Bywały podobne wypadki — i muszę przyznać, że ku ogólnemu zadowoleniu.

— Pod tym względem trzymam się i zawsze trzymać się będę zasady mojej ciotki Doroty — ciągnął dalej mały Lestoc. Siedzieliśmy we dwoje pod wielką gruszą. Pamiętam doskonale, że owego dnia ciotka Dorota miała na sobie pelerynkę koloru czekolady i czepek z szerokiemi falbankami. — „Henryku, rzekła do mnie, nie rób *tego* nikomu, jezeli chcesz żeby i tobie taką samą nie odpłacono monetą“ — A żebym o tem nie zapomniał, palnęła mnie porządnie w prawy policzek; był to jej zwykły sposób wbijania mi w pamięć ważniejszych rzeczy... Ztąd też wynika że nigdy nie pożądam żony bliźniego.

— Co mówisz, piękny chłopcze! — zawołał pan Drommel, miałożby to być prawdą?

— Najczystsza prawda, a przytem ta ofiara nic mnie nie kosztuje. Jak mnie pan tu widzisz, nie kochałem się nigdy. Trzeba panu wiedzieć, że jestem pejzażystą, a w pejzażu kobieta jest niczem więcej, jak tylko plamą. Chciej mnie pan zrozumieć. Robię krajobraz... zaczynam, rozumie się, od nieba, bo krajobrazy zawsze od nieba się zaczynają. Obraz skończony, znajduję go zachwycającym, ale spostrzegam że brak mu jednej lub dwóch plam; jednej n. p. różowej, a drugiej niebieskiej lub słomkowo-żółtawej, bo o kolor tu mniejsza. Szperam w moich wspomnieniach, i znajduję w nich jakąś słomkowo-żółtawą kobietę, albo też widzę ją przechodzącą ulicą; podbiegam ku niej, proszę żeby się pofatygowała do mnie i mówię: „Pani, jesteś konieczną do mojego szczęścia, jesteś plamą której szukałem właśnie!“

— Bez dwuznaczników! — wtrącił pan Taconet.

— Jestem do tego stopnia ograniczony, że na dwuznacznikach znam się również tyle co na miłości. Miłość, to staroświecka zabawka, dobra dla malarzy rodzajowych; ale dla nas pejzażystów, co ona warta? E, do djabła! w plamie przecież zakochać się niepodobna!

Pan Drommel spoglądał na artystę z uwielbieniem, w którem mieściła się wielka doza podziwu.

— Więc naprawdę, nigdy a nigdy, piękny młodzieńcze?

— Nigdy — odpowiedział malarz. — Zresztą, za nadto jestem zatrudniony.

— Z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych — dorzucił pan Taconet.

— Nigdy, powiadam panu, przenigdy, i nie ścierpię aby ktokolwiek śmiał wątpić o tem. Być może, że za jakie lat trzydzieści, na starość.... Będzie to dowodem, że zmiękłem.

— Dziwny z niego człowiek! — rzekł pan Drommel do księcia Malaserra.

— Przewrotne zasady! — poparł książe. Co domnie, dziesiąte przykazanie, było zawsze świętością w moich oczach: Nie pożądałem nigdy ani domu, ani służebnicy, ani woła, ani osła, mojego bliźniego, ani żadnej rzeczy która jego jest. No, ale człowiek nie może on być zupełnie doskonałą istotą. Z dziewiątem też przykazaniem niezawsze pozostawałem w należytej harmonji — a jeśli mam się jaśniej wyrazić, i jeżeli panowie pozwolicie abym wyłuszczył moje zapatrywanie na poruszoną w tem przykazaniu kwestję pożądania żony bliźniego...

Tu przerwał, nic nie wyjaśniwszy i niewyłuszczywszy, gdyż pan Taconet spoglądał na niego, a spojrzenie pana Taconeta nie wpływało na księcia w sposób dodatni.

— Miałbym wielką ochotę — zabrał głos Lestoc — jedno pytanie zadać naszemu wymownemu współbiesiadnikowi, szanownemu panu Drommel

— Pytaj się o co chcesz, młodzieńcze, na wszystko ci odpowiem, boś mi się podobał.

— Byłeś pan kiedy żonaty?

— Młodzieńcze — odpowiedział poważnie pan Drommel — gdy lepiej poznasz życie, dowiesz się że filozofowie zmuszeni bywają niekiedy zastosować się do współczesnych zwyczajów.

— Oh! bynajmniej nie mam panu tego za złe; pragnąłbym tylko wiedzieć, czyś pan wyjaśnił w praktyce teorję skłonności doborowych i wolnego obiegu?

— Trzeba ci wiedzieć, młody mój przyjacielu — odrzekł filozof z większą jeszcze powagą — w niektórych krajach, kobiety powodują się tylko uczuciem i kaprysami rozbujałej wyobraźni,—że tem samem byłoby może niebezpiecznie, popuścić im cugle i polegać na ich dobrej woli. Ale gdybyś pan znał Niemki, wiedziałbyś także, że one nie potrzebują przesądnych form dla ochrony swej cnoty. Z pośród wszystkich innych kobiet, wyróżniają się one wysoką moralnością, głębokiem uczuciem i namiętnością w przywiązaniu. Kiedy Niemka pokocha, to już kocha na całe życie; miłość jest dla niej wyznaniem, religją, a bóstwa swego nie wyrzecze się nigdy. Spodziewam się, że panowie nie zechcecie odmówić rasie germańskiej wyższości duchowej i moralnej, jaką przyznają jej wszyscy ludzie nieuprzedzeni. — Boże mój! przesądy są może niezbędnemi dla rass podrzędnych, tak jak Czerwone skóry nie potrafią się obywać bez tomahawka. Żal mi rasy łacińskiej ale przeznaczeniem jej jest ustąpić miejsca narodowościom młodym, posiadającym soki żywotne i tajemnicę przyszłości. Kiedy Niemcy przekształcą świat ten i silną swą dłonią założą posady nowego społeczeństwa, biada wówczas ludom niezdolnym przyswoić sobie ich zasad! znikną z powierzchni ziemi jak Czerwone skóry za zbliżeniem się białych.

Ekskomisarz policji szepną po raz trzeci i czwarty:

— Cierpliwości! cierpliwości!

— Słyszałem utrzymujących — zauważył z niemniejszą powagą artysta — że wskutek zatracenia przez Gallów sekretu rozmnażania swej rasy, po upływie jednego wieku trzech już ich tylko pozostanie na ziemi. Jeden z nich ma być fryzjerem, drugi kucharzem, a trzeci będzie układał kalambury. Z drugiej jednak strony zapewniają, że gdy już i ci trzej ostatni wymrą, a na ziemi pozostaną sami tylko Niemcy — wówczas, akademja berlińska, wychodząc z zasady że im więcej głupców na świecie tem weselej, wyznaczy sto tysięcy franków nagrody temu, kto wynajdzie sposób produkowania Gallów.

— Ubliżasz pan głupcom niemieckim, — rzekł pan Taconet podnosząc się od stołu; wystarczają oni sobie zupełnie, a głupstwa przez nich popełniane, zdolne są utrzymać w dobrym humorze nie tylko ziemię samą ale i księżyc i gwiazdy.

Następnie zwrócił się do socjologa:

— Jeden z ostatnich Czerwonoskórych — krzyknął mu nad uchem — życzy syntezie germańskiej spokojnej nocy i przyjemnych marzeń.

Poczem skłonił się głęboko i znikł za drzwiami.

— Wcale niemiłe indywiduum — mruknął pan Drommel; — takie przykre i szorstkie ma obejście. — Mnie, co się znam na fizjognomiach, odrazu się nie podobał; jest to jedna z tych osobistości, z któremi uczciwy człowiek nie rad się spotyka w głębi lasu.

— Ja sam znałem pewnego poczciwego człowieka, który był tego samego, co pan zdania — dorzucił Lestoc — i który dziś by to samo przyznał, gdyby gilotyna nie skróciła była dni uczciwego jego żywota,

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał książe Malaserra.

— To, mości książe, że pewne osobistości wolą spotkać się w lesie z piękną kobietą, aniżeli z komisarzem policji.

— A! pan Taconet należy do policji! Byłem tego prawie pewny. Policja ma coś niemiłego w oku i nie zna się na formach światowych — szczególniej we Francji.

Jakby mu wielki ciężar spadł z piersi, książe nabrał zaraz innego humoru po odejściu człowieka bez form światowych; zadzwonił i kazał podać butelkę wina Ai, pragnąc uraczyć niem znakomitego przyjaciela. —

Podano trzy kieliszki; ale mały Lestoc oświadczył, że pejzażyści nie piją wina Ai i odszedł, zostawiając księciu Malaserra przyjemność uczczenia sam na sam z panem Drommel szczęśliwego zdarzenia, jakie mu nastręczyło spotkanie jednego z pierwszorzędnych współczesnych myślicieli, w którym, jak się wyraził, podziwia niezrównaną siłę logiki, stanowczo wszakże odrzucając jego radykalne zasady. —

Po odejściu malarza, pod wpływem wina Ai, gawędka stała się więcej poufałą. Książe Malaserra zarzucił pana Drommel mnóstwem pytań, zdradzających najżywszą sympatję dla znakomitego socjologa. Ze swej strony niezmiernie ucieszył się wiadomością, że współbiesiadnik jego zamierza zabawić czas jakiś we Włoszech; namawiał go, aby posunął swoją wycieczkę aż do Sycylji, w jakim razie ofiarował mu do wyłącznego rozporządzenia jeden ze swoich pałaców, a nadto zaprosił na cały miesiąc do Malaserra, dokąd zamierzał wkrótce powrócić, nie mogąc żyć dłużej w oddaleniu od swoich cedrów niebotycznych, i pomarańczy wielkości dyni. Pan Drommel chętnie przyjął zaproszenie, a im bliżej zaznajamiał się z księciem Malaserra, tem więcej przekonywał się, że tylko obcując z książętami, znajduje się w swoim żywiole. —

Rozkoszną tę pogadankę przerywała kilkakrotnie niedyskretna pani Picaud. Zacna ta niewiasta, obdarzona jest tylu nader cennemi zaletami, że bez cienia obrazy, możemy wytknąć niektóre jej wady. Między innemi, nie jest ona przejętą należytym szacunkiem dla wielkich tego świata i dla ludzi znakomitych, nie wyłączając nawet spijających wino Ai. Zarzucają jej również opryskliwe obejście się z tymi ze swoich stołowników, których fizjognomie nie miały szczęścia podobać się jej — pod jakim to względem przekracza ona najświętszą zasadę swego powołania, doradzającą niezwracanie uwagi na osobistości, ale na ich czyny: „Powiedz mi, co jadasz, a powiem ci kim jesteś“ — to najwłaściwsza sentencja dla praktycznego oberżysty. Niejednokrotnie więc, jak wyżej powiedziano, pani Picaud wpadała gwałtownie do sali jadalnej, w nadziei, że zastanie ją już opróżnioną, i z niemniejszym impetem zamykała drzwi napowrót. Trudno by było nie zrozumieć tak wyraźnego zaproszenia, we wszystkich zarówno językach cywilizowanych tłumaczącego się trzema wyrazami: „Idźcie sobie precz!“

Pan Drommel przyznał się przed księciem, ze osoba pani Picaud wydała mu się również odstręczającą jak pan Taconet, a zarazem zapytał go pod sekretem i z nieudanym niepokojem, czy hotele w Barbison używają dobrej sławy. Z obaw tych książe wywnioskował, że pan Drommel wiezie cały zbiór drogocennych kamieni; skoro się jednak dowiedział, że tu idzie o nędzne pięć do sześciu tysięcy franków w biletach i papierach wartościowych, nie mógł powstrzymać wzgardliwego ruszenia ramionami. Co to znaczy sześć tysięcy franków dla takiego magnata, księcia i pana na Malasserra! W każdym wszakże razie zwrócił uwagę pana Drommel, że dogodniej było zaopatrzyć się na drogę w weksle lub przekazy płatnicze, a obecnie gorąco mu zalecał, aby skromną swoją sumkę zawsze przy sobie nosił.

— Hotel ten — mówił — używa jak najlepszej opinji; ale wierzaj mi, mój przyjacielu najdroższy, człowiek tego tylko jest pewnym, co trzyma w ręku.

W tym samym czasie ekskomisarz policji palił fajkę w swoim pokoju, a w kłębach narkotycznego dymu zdawało mu się, że widzi prześliczną kobietę z oczami modnego koloru, niewinnego młodzieniaszka z maleńkim blond wąsikiem, spory woreczek naładowany pieniędzmi, i zawieszony na szyi starego gbura, a wreszcie szlachetną bladą twarz sycylijskiego księcia, z wykrzykiem na ustach: „Uszanowanie własności jest podstawą społeczeństwa“.

Z całej tej bezładnej mieszaniny, Pan Taconet wytworzył sobie jednolity obraz, romans w cztery osoby, w którym skłonności doborowe ważną odgrywały rolę; serca, pieniądze, wszystko w obieg puszczone, kursowało swobodnie. Następnie zaczął rozmyślać o rasach podrzędnych, o naradach posiadających tajemnicę przyszłości, o syntezie germańskiej, o Sedanie, o Czerwonoskórych, aż zasnął w końcu, szepnąwszy raz jeszcze: —

Cierpliwości! (C. d. n.)

Z Księgi Przypowieści.

Gdzie będzie pycha, tam i hańba będzie.
Z Pokorą Mądrość nierozdzielna wszędzie.
R. 11. 2.

Gdzie nie ma rządcy, naród upada,
A zdrowie liczna zabija rada.
R. 12. 14.

Niewiasta głupia, choćby tak piękna jak zorza,
To tylko w ryju świni, złocista obroża.
R. 22. 12.

Mądra niewiasta, dom swój zbuduje, utrwali,
Głupia i zbudowany rękoma rozwali.
R. 14 1.

Z niedźwiedziem, gdy mu dzieci wydrzesz, się potykaj.
Głupca, który w głupotę swą ufny, unikaj.
R. 17. 1.

Wieńcem dla starych, synów ich synowie,
A chwałą synów, ojcowie.
R. 6. 17.

Dom i majętność bywa od rodziców dana,
Ale żona roztropna od samego Pana.
R. 20. 14.

Ciężki jest kamień i ciężkie są głazy,
Ale głupiego gniew cięższy sto razy.
R. 27 3.

Trzy rzeczy u mnie trudne, czwartej nie znam wcale:
Droga orła w powietrzu, ślad na skałach węża,
Droga okrętu morskie prującego fale
I w młodości drogi męża. —
R. 30. 18. 19.

Leniwiec mówi: lew zaległ ulice,
A drogi — lwice.
R. 26. 13.

I obłok i wiatr a deszczu za nim jednak nie ma
Mąż, co wiele obieca — a nic nie dotrzyma.

By zdobyć sobie mądrość, w trudzie nie ustawaj,
Lecz mądrości, nauki nigdy nie sprzedawaj!
R. 23. 23.

Syn głupi, żałość ojcowa,
A dach wiecznie kapiący, swarna białogłowa.
R. 19. 13.

Gdy drew nie stanie, wprędce i ogień zagaśnie,
Gdzie nie ma podszczuwacza, ustawają waśnie.
R. 26 20.

Wsadź głupca w stępę, stęporem jak ziarno
Bij, tłucz, — głupstwo nie plewa, silisz się na marno.
R. 27. 22.

I miodu plaster dusza zdepce syta,
A głodna gorzkie jako słodycz chwyta.
R. 27. 7.

Gdy wróg twój łaknie, kwap się z chlebem doń;
Gdy pragnie, zimną spiesz mu podać wodę;
Węgli zarzewiem obsypiesz mu skroń
A i u Pana zdobędziesz nagrodę.
R. 25. 21. 22.

1879. Karol Brzozowski.

Pierwowzór don Kiszota.

Kiedy w czasie wojen krzyżowych rycerstwo średniowieczne stanęło w całym blasku swego rozwoju, kwitnąć zaczęła także poezja miłosna, a wielu rycerzy umiało silną dłonią oręż dźwignąć i dla pani swych myśli piosnkę ułożyć miłosną. Kobieta, zajmująca poprzednio dosyć podrzędne stanowisko, stała się nagle panią, władczynią, przedmiotem boskich niemal hołdów. Było też w modzie czas swój poświęcać na usługi pięknym damom, a każdy rycerz miał swoją panię wszechwładną, której był posłusznym niewolnikiem. Rozkaz jej stawał się dlań prawem i spełnionym być musiał, choćby najbardziej dziwny, niedorzeczny i niemożebny prawie do wykonania. Rycerz gotów był nawet męki cierpieć, gdy mu nakazały uśmiechnięte usteczka nadobnej jego damy. Kobieta widząc, iż ze służebnicy zrobiono ją władczynią, z istoty, na którą mało zwracano uwagi, bożyszczem, stała się próżną, żądną uwielbień, poświęceń nawet.

Przedmiotem czci i starań rycerza bywały zwykle kobiety zamężne, o ich względy starano się, dla nich nucono miłośne piosenki Dziewice przed zamężciem wiodły żywot cichy, ukryty, najczęściej w klasztorze, niewidzialne, niedostępne dla nikogo. Nic więc dziwnego, że rycerz hołdy swe składał w dani mężatkom, które były dlań albo bardzo względne, albo igrały z miłośnemi jego zapałami, wystawiając je na różne ciężkie nieraz bardzo próby

Istnieje wiele przykładów, niezwykłej stałości dla kobiet uroczych owego czasu. Pewna powabna mieszkanka Prowancji zażądała od rycerza, który jej wyznał swą miłość i o wzajemność prosił, by przebył rok cały w jaskini wśród gór, boso, odziany skórami zwierząt jedynie, a przez czas ten cały karmił się korzonkami i owocami drzew leśnych. Gdy zaś minął czas na próbę wyznaczony i ofiara tego niewieściego kaprysu blada i wynędzniała, prosiła o nagrodę obiecaną, nadobna bogini rycerza zażądała nowej próby, której wykonać nie miał odwagi i wolał się wyrzec nadziei osiągnięcia szczęścia, do którego

tak długo nadaremnie wzdychał. Inny rycerz, którego imię zapisała historja na swych kartach, Peiré Vidal, kazał, na rozkaz pani swych myśli, w wilczą zaszyć się skórę i potąd wyjąc biegał na czworakach po lesie, aż go napadły psy pasterzy i o mało nie rozerwały.

Nie mało mamy przykładów w historji, iż nieraz największe dziwactwa wchodziły w modę i znajdowały tysiące naśladowców. Podobnież rycerstwo średniowieczne, podniosłszy kult kobiety do zenitu prawie, wydało wielu czułych kochanków, popełniających tysiące niedorzeczności jedynie dla przypodobania się swym damom. Miquel Cervantes w swoim rycerzu z Manszy, ośmieszył i sarkazmem okrył dziwaczne wybryki średniowiecznego rycerstwa. Gdy jednak pisarz ten tworzył swe dzieło pomnikowe, rycerstwo to już nie istniało, a żyło w romansach tylko i wspomnieniach. Było to w XV wieku za panowania Habsburgów. Na dwieście zaś lat przedtem żył pewien rycerz austrjacki, który będąc sam piewcą-trubadurem, w rymach przekazał potomności swe własne przypadki i który mógł godnie służyć za wzór Don Kiszotowi. Trudno przypuszczać, żeby Cervantes znał utwór owego rycerza, gdyż językiem niemieckim władał bardzo słabo, jednak być może, że za czasów Karola i jego następców, gdy berła Hiszpanji i Niemiec w jednym spoczywały ręku, kiedy rycerze obu państw wspólnie walczyli, a pieśni Rolanda i poetów Prowancji w całych były znane Niemczech, utwór niemieckiego rycerza przetłómaczony został na język hiszpański.

Tym piewcą-rycerzem niemieckim był Ulryk von Lichtenstein ze Styrji, którego zamek wznosił się nad brzegami Muru. Opisał on wierszem życie swe obfite w przygody, i uniešmiertelnił w ten sposób własne dziwactwa. Utwór ten zatytułował: *Frouven dienest*. Wartość jego poetyczna bardzo mała, ciekawym jest on jednak dla historyka, a nawet psychologa, pokazuje bowiem do jakiego stopnia dochodziły naówczas wolność obyczajów i dziwactwa błędnych rycerzy.

Gdy miał lat dwanaście, umieścił go ojciec w charakterze giermka przy boku pewnej znakomitej damy. Niektórzy badacze epoki ówczesnej sądzą, iż damą tą była Agnieszka z Meranu, poślubiona najprzód Henrykowi, następnie księciu Ulrykowi. Dzieckiem jeszcze zakochał się nasz bohater w swej pani i obrał ją za damę swego serca i myśli. Okazywał jej różnemi sposobami miłość swą i uwielbienie, przynosił jej kwiaty i pił pokryjomu wodę, w której się myła. Minął wreszcie okres jego nauki i liczył on już ośmnastą wiosnę. Podczas służby tej przy dworze zyskał nie wiele, gdyż czytać i pisać się nie nauczył, a poezje swe dyktować był zmuszony najętemu pisarzowi, który mu też czytywał otrzymywane listy. W r. 1223 bohater nasz pasowany został na rycerza przez Leopolda sławnego. Wówczas też zaprzysiągł poświęcić całe swe życie rycerskim czynom. Polegały one na wędrówkach awanturniczych po kraju, na bojach turniejowych, pojedynkach, łamaniu kopji, a wszystko ku większej chwale pani swych myśli. Bardziej wzniosłego ideału nie posiadał, bo największem dobrem na ziemi były dlań, jak sam wyznaje, piękne kobiety, ładne suknie, zbroje, rumaki i smaczne potrawy.

Krewna jakaś, mieszkająca na dworze damy naszego rycerza, ułatwiła mu sposób porozumienia się z nią. Przez tę krewnę też przesłał uwielbianej kobiecie wieńce i kwiaty, których ta przyjąć jednak nie chciała, gdyż, jak mówiła, „usta Ulryka nie stworzone do całusów." Rycerz nasz miał podwójną spodnią wargę, szpecącą go bardzo, kiedy zaś doniesiono mu o słowach ukochanej, pojechał do Pragi i zbyteczną wargę obciąć sobie kazał. Po zagojeniu rany postarał się ujrzeć boginię, która nie tylko nie przyjęła go łaskawie, ale nawet wyśmiała. Zrozpaczony posłał jej list pełen wyrzekań nad nieszczęsną swą dolą, a sam wsiadł na rumaka i rozpoczął awanturniczą wędrówkę. Na wielkim turnieju złamał sto lanc na chwałę ideału. Odtąd walczył ciągle z powodzeniem i jedynie w Tryeście spotkał go smutny przypadek, gdyż przeciwnik jakiś zranił mu palec, w którym następnie władzę utracił. Po powrocie do kraju dowiedział się, iż pani jego nie chce wierzyć, że ma on palec bezwładny. Rozgniewany tem, prosi pewnego przyjaciela by mu go odciął i posłał ze zwojem pieśni miłosnych swej damie, która widzi w tem jedynie brak zastanowienia i zdrowych zmysłów. Rycerz mimowoli nie traci nadziei. Przebrany za Wenerę, rozpoczyna z Wenecji nową wędrówkę, potykając się ze spotkanymi na drodze rycerzami, krusząc z nimi kopie i dając dowody siły niezwykłej w bogini miłości. Wśród niezliczonych przygód przybył aż do Czech. Nie zdołał jednak i tą awanturniczą podróżą zmiękczyć serca swej władczyni. Zniechęcony, musiał widocznie szukać innych dam, więcej łaskawych, gdyż pani jego myśli przysyła mu list, w którym mu wyrzuca niewierność. Rycerz pragnie ją przebłagać. Dama wyznacza mu nową próbę, poczem już nagrodę otrzyma. Bohater opowiedzianych powyżej przygód decyduje się, stosownie do żądania, przebrany za żebraka i wraz z innymi ubogimi przybyć w łachmanach po jałmużnę do zamku władczyni. W tym celu każe ostrzydz sobie włosy, posypuje głowę popiołem, przywdziewa łachmany i z żebrakami przychodzi do zamku, a otrzymawszy nędzną strawę, spożywa ją, budząc postacią swą i zachowaniem głośny śmiech pani swej myśli, patrzącej z okien zamku na to wszystko.

Po odbyciu ostatniej próby ma otrzymać wreszcie dawno oczekiwaną nagrodę swych poświęceń. Dama zgadza się przyjąć go u siebie następnej nocy. Przeczekawszy dzień cały jeszcze i noc wśród burzy na polu, rycerz nasz schodzi o zmroku do rowu otaczającego zamek, zmienia łachmany na bogate suknie i czeka chwili, w której ma zostać szczęśliwym. Chwila ta wreszcie się zbliża, z okna zamkowego spuszczają prześcieradło i kilku pachołków wciąga go na górę. Nagle znajduje się w komnacie swej ukochanej, otoczonej damami dworu i spoczywającej na bogato przybranem łożu. Zachwycony tym widokiem, pada na kolana przed swem bożyszczem i błaga o spełnienie przyrzeczenia. Nowe jednak zjawiają się przeszkody: nadobna bogini oświadcza mu otwarcie, iż mężowi swemu nigdy wierną być nie przestanie. Ulryk nasz rozpacza, nie traci jednak jeszcze nadziei i błaga o łaskę, o spełnienie jego życzeń. Natarczywemu kochankowi robią pewne nadzieje, ale pod warunkiem, że się raz jeszcze zgodzi przebyć tę drogę, którą przebył przed chwilą. Gotów na największe poświęcenia, rycerz zgadza się; spuszczają przez okno prześcieradło, a on, uczepiony zań, zsuwa się zwolna, a wreszcie, wśród śmiechu damy, spada do rowu, i jedynie dzięki twardym swym kościom, nie łamie ręki lub nogi. Sądzićby można, że podobny wypadek największe i najgorętsze mógł ostudzić zapały. Ulryk nasz jednak jest bardzo uparty, niełatwo można go z miłości tej wyleczyć. Chociaż nie przestał kochać damy, mniej stał się jednak natarczywym, a nawet wyjechał do Wiednia, gdzie w gronie pięknych kobiet szukał osłody cierpień. Może ostygać też już zaczął w miłośnym zapale, gdy nagle otrzymuje od bogini przez posłańca jej poduszkę, mającą oznaczać bliskie spełnienie jego życzeń. Skłania go to do nowych dziwactw, które lat jeszcze kilka, na żądanie bogdanki swej, popełnia.

Po trzynastu wreszcie latach wiernej służby, błędny rycerz przekonał się, iż kresu swych życzeń nie osiągnie. Opuszcza więc niewdzięczną i obiera sobie inną władczynię, bo, jak mówi, „czyż żyć można bez pieśni i pani". Dla miłości nowej bogini, nową awanturniczą rozpoczyna wędrówkę, przebrany za króla Artura, powracającego z raju.

Tak kończy się historja błędnego rycerza Ulryka von Lichtenstein, którą sam on w utworze swym opisał. Być głupcem, nietrudno, a popełniać niedorzeczności, może każdy — ale żeby opisywać dziwactwa swoje i w rymach przekazywać je potomności, na to trzeba być pierwowzorem Don Quixote.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

TOM II.

Epilogiem całej sprawy, był złośliwy wiersz w *Szturchańcu*, opisujący niefortunne swaty oberkomisarskie w sposób tak niebezpieczny dla porządku i spokoju publicznego, że musiano aż przedsięwziąść nadzwyczajne środki ostrożności. *Ober-Staats-Confiscator*, tj. dygnitarz, któremu rząd Chaocji powierzał opiekę nad wolnością prasy w Milicji i Landwerji, zarządził formalną obławę na egzemplarze buntowniczego organu, skonsygnowano garnizon w koszarach i kazano kanonjerom stać całą noc w pogotowiu przy armatach. Na ulicach każdy, komu przypadkiem jaki kawałek papieru wyzierał z kieszeni, ulegał całej surowości prawa, straż bezpieczeństwa okładała go bowiem szablami i kolbami, poczem ciągnięto go do więzienia i przetrząsano, a jeżeli znaleziono przy nim numer *Szturchańca*, zabierano go bez ceremonji. I przy tej wszakże sposobności łagodność i sprawiedliwość władz miejscowych występowała w całym blasku, nietylko bowiem zwracano zrewidowanym ich odzież, ale nawet wypuszczano niewinnych z więzienia bez protokołu i wszelkich formalności, nie żądając od nich wynagrodzenia za nocleg, jak to utrzymywała nieprzyjaźna Chaocji prasa zagraniczna. Co więcej, Ober-komisarz dowiedziawszy się

o całej sprawie, kazał sobie pokazać pismo zawierające artykuł inkryminowany, a uśmiawszy się serdecznie, polecił, ażeby zaprzestano dalszego bicia i rewidowania, i ażeby zwrócono zabrane egzemplarze; jednemu zaś z najbardziej i najniewinniej pobitych, posłał pięć idealników na plastry i na pijawki. Pomimo to, operacje powyżej opisane zaniepokoiły w wysokim stopniu mieszkańców Wilkowa i zwróciły ogólną uwagę na wiersz Języczkowskiego. Każdy czytał go i dowiadywał się pilnie o nazwisko młodzieńca, który dostał kosza za pośrednictwem ober-komisarjatu, a ponieważ w takich wypadkach fantazja wszystkowiedzów zwykła odgrywać niepospolitą rolę, więc niebawem połowa kawalerów wilkowskich podejrzaną była o niefortunne konkury do ręki panny Zacierkiewiczówny. Stanisław wiedział przypadkiem dokładnie, o kogo chodziło, ale gdy go panna Natalja o to pytała, nie wymienił swego pryncypała, lecz złożył *odium* całej sprawy na jakiegoś wojskowego, który wcale nie istniał. Wszystko to robił z wdzięczności dla dra Mitręgi.

Tymczasem, widokrąg finansowy szanownego doktora-redaktora zachmurzał się coraz bardziej. Stan dochodów z posiadłości jego tabularnych, Wielkiego i Małego Znikła, Niebywałów i Wulki Niebywalskiej nie zmieniał się wcale. *Orędowniczka* doniosła wprawdzie, że dziedzic tych włości zwany Mitręga, ze względu na tegoroczny nieurodzaj i inne klęski elementarne, darował dzierżawcom swoim całą tenutę, ale wiadomo nam, że i bez tego aktu wspaniałomyślności przychód nie byłby wystarczył na jedno śniadanie dla Turpina, ani nawet dla Fidusia lub Minionki. Majątki »Jaśnie Wielmożnego Mitręgi« miały tylko tę jedną dobrą stronę, że wszelkie usiłowania wywłaszczenia go z nich w drodze przymusowej sprzedaży za zaległe podatki były zawsze bezskutecznemi, ponieważ ani na pierwszym, ani na drugim, ani na dziesiątym terminie nie jawił się nigdy żaden nabywca. Drugą korzyścią było to, że nie ciężyły na nich żadne długi bankowe, i jakkolwiek dr. Mitręga usiłował niejednokrotnie zrzec się tej korzyści, wszystkie banki wzdrygały się jednomyślnie przed zamachem na rzecz tak rzadką, jak czystość ekstraktu tabularnego. Druga posiadłość pana doktora, t. j. *Orędowniczka*, opłacała się wprawdzie o tyle, że było czem pokryć druk, papier i honorarja współpracowników, licząc do nich i Marcina, na potrzeby zaś szpaków pana redaktora i jego własne, nic nie zostawało od czasu, jak hr. Skirgiełło zamiast na niedźwiedzie w krajn, polował na krokodyle w Nilu. Sytuacja finansowa, stworzona tym zbiegiem okoliczności, wymagała niezwłocznej naprawy, której poświęcimy rozdział następny.

ROZDZIAŁ VIII.

(W którym okazuje się, jak mylną jest teorja przyrodników, że nic nie może powstać z niczego.)

— Panie Stanisławie — rzekł pewnego razu dr. Mitręga do pana Wołodeckiego — czy zastanawiałeś się pan kiedy nad położeniem naszego ludu wiejskiego?

— I owszem, nie pracuje, nie oszczędza i traci jeden kawałek ziemi po drugim.

— Tak, ale jakież są środki zaradzenia tej niedoli?

— Hm, na razie nie widzę żadnych. Musi przyjść do tego, że będziemy mieli ogromnie liczny proletarjat wiejski, wśród którego skrzętniejsi i rozumniejsi skupią w swem ręku większe obszary gruntów, a reszta z biedy nauczy się pracować i oszczędzać.

— Ależ lud nasz pracuje, pracuje w pocie czoła.

— Statystyka zaprzecza temu. Na takim obszarze, jaki zajmuje Milicja, w Anglii, we Francji i w wielu innych krajach zaledwie trzecia część tych rąk, co u nas, zajmuje się uprawą roli, a jednak, chociaż ziemia u nas jest lepszą, produkcja nasza ani co do ilości, ani co do jakości nie staje na równi z produkcją tamtych krajów.

Dr. Mitręga zamyślił się — odpowiedzi Stanisława nie miały bowiem nic wspólnego z planem, który miał w głowie. Zanucił więc jakąś melodję, pobawił się trochę z Turpinem, kopnął go następnie nogą i odezwał się znowu:

— Wszystko to prawda, ale potrzeba ratować lud od lichwy.

— Ba, gdyby można!

— A dlaczegożby nie można?

— Bo lud, otrzymawszy pieniądze na mały procent i spłaciwszy żyda, zadłuży się znów u niego przy najbliższej sposobności, i zamiast jednego ciężaru, będzie miał dwa do dźwigania.

— Ej, panie Stanisławie, to są poglądy... jakże... mistyczne, semistyczne...

— Pesymistyczne.

— Tak, chciałem powiedzieć, pesymistyczne. Dziwna rzecz, jak czasem mam słabą pamięć dla obcych wyrazów i nazwisk. Wyobraź pan sobie, wczoraj przy obiedzie palnąłem ni ztąd ni zowąd, że Homer był powieściopisarzem greckim. Wszyscy w śmiech, i dopiero hrabia Cedro młodszy musiał mi przypominać, że Homer był bardem szkockim, który pisał Luizjadę Kamoensa!

— Na Boga! — pomyślał Stanisław i zarumienił się w imieniu całej redakcji *Orędowniczki*, ale nie rzekł nic i tylko postanowił sobie w duchu przy najbliższej sposobności pogodzić swego pryncypała nieznacznie z myślą, że Homer nie miał nic wspólnego z Szkocją, z Luizjadą, ani z Kamoensem. Zapóźno, niestety; w najbliższym już bowiem numerze *Szturchańca* idealny jakiś dr. Mitręga, poświęcając się zawodowi literackiemu,

»Pragnął być wielkim, jak ów Ariosto,
Co był francuskich romantyków chłostą,
I by go dziwna wyniosła karjera,
Nad portugalskie sukcesy Homera.«

Na razie wszakże dr. Mitręga nieświadomy jeszcze tego, co mu groziło, mówił dalej:

— Ale wróćmy do rzeczy. Poglądy pańskie są, jak powiadam pesymistyczne. Cobyś pan przecież powiedział, gdyby założono bank, któryby włościanom, nota bene, zasługującym na wsparcie i bez własnej winy jęczącym w ręku lichwiarzy, pożyczał pieniądze, dajmy na to, na 12 od sta rocznie?

— Hm, zapewne, że taki bank byłby dobrodziejstwem.

— A widzisz pan! Otóż, kochany panie Stanisławie, chciałem pana prosić, ażebyś pan napisał artykuł, wykazujący konieczną potrzebę i pożyteczność takiego banku. Ale gorąco, jak to pan umiesz! Możesz pan także dodać, że grono obywateli, przejętych szczerą i bezinteresowną miłością ludu, powzięło myśl założenia takiej instytucji, a nawet, »jak się dowiadujemy«, pierwsze kroki u rządu w tej mierze już są poczynione i potrzeba jeszcze tylko poparcia naszej ambasady w Krachenburgu. Możebyś pan tam co wspomniał o Władysławie, królu chłopków, i Ludwiku XIV., który chciał, ażeby każdy chłop miał na objad kurę w garnku...

— To jest, o Henryku IV. i o Kazimierzu Wielkim...

— Jak to, o Kazimierzu; przecież widziałem na wystawie obraz Gersona, na którym król spi, otoczony przez chłopków i chłopki, a w katalogu wyraźnie stało, że to król Władysław. Nawet cały obraz wygląda jakoś czerwono, jak gdyby malarz chciał wskazać, że to był król demokrata.

— Tak, ale królem Chłopów, *kat exochen*, zwano Kazimierza.

— To napisz pan już jak pan chcesz, i owszem, *kat exochen*, to brzmi bardzo dobrze — cytaty angielskie bardzo się prezentują w artykułach wstępnych.

— Tylko że ten będzie greckim...

— To jeszcze lepiej, to świadczy o wszechstronnej erudycji autora. Tylko napisz pan koniecznie dziś jeszcze.

— Nie omieszkam, możesz pan być spokojnym.

W istocie, jakkolwiek Stanisław jakoś nie mógł uwierzyć w praktyczny skutek i w powodzenie banku, o którym dr. Mitręga mówił z takim zapałem, skomponował tego samego dnia jeszcze gorący artykuł przedstawiający rzecz z jak najlepszej strony tak pod względem patryotycznym, jak i ekonomicznym i sławiący zasługę obywateli, którzy powzięli myśl tak zbawienną. Z miłości dla swego pryncypała, Stanisław nie szczędził cytatów w obcych językach, nie zapomniał także wspomnieć o Kazimierzu W. i Henryku IV., wykazując przytem, że myśl niesienia pomocy ludowi nie ma w sobie nic demagogicznego ani spekulanckiego, skoro powstała w sercu monarchów z Bożej łaski.

Dr. Mitręga był nad miarę zadowolonym. Kazał sobie wyjaśnić znaczenie wszystkich cytatów łacińskich, greckich, angielskich i francuskich i tak się przejął niemi, jak gdyby były utworem jego własnego geniuszu. Następnie porwał pierwszy egzemplarz *Orędowniczki*, który się wysunął z pod prasy, włożył go do kieszeni i zawoławszy Turpina, ruszył w jego towarzystwie na przedmieście, do dworku sekretarza Kluszczyńskiego.

Na ganku zastał pannę Natalję, od

której się dowiedział, że »ojciec zaraz nadejdzie«. Usiadł więc na ławeczce i dla zabicia czasu rozpoczął rozmowę z panną sekretarzówną wyrazem żalu, że dawno już nie miał przyjemności ją widzieć.

— To pan raczej stajesz się rzadkością — odpowiedziała mu.— Ale nic w tem dziwnego: sprawy publiczne, literatura, a zapewne jeszcze i inne... jakże mam powiedzieć?... zajęcia, nie zajęcia — myśli, afekta...

— Mówisz pani zapewne o sprawach serca. Co do tych, znam w redakcji *Orędowniczki* kogoś, kogo właśnie te afekta ciągną w tę stronę raczej — i nie dziwię mu się wcale, lecz mu zazdroszczę.

— Nie rozumiem, o kim pan mówisz.

— Jak to, wszakże p. Wołodecki...

— P. Wołodecki! Co pan możesz mieć do zazdroszczenia p. Wołodeckiemu!

Słowa te powiedziane były w sposób, który w istocie stawiał p. Wołodeckiego w świetle mniej godnem zazdrości.

Dr. Mitręga bieglejszym był w dostrzeganiu takich subtelnych odcieni głosu, niż w innych naukach. Zresztą, od rana. tak głęboko zajmował się kwestjami ekonomicznemi, że jak zwykle u ludzi mających umysł wytężony w jednym kierunku, sama z siebie nasunęła mu się myśl, że Zacierkiewicz jest wprawdzie bogatszym od Kluszczyńskiego, ale ma trzy córki, Kluszczyński zaś tylko jedną.

— Nie wiele, zapewne, a przecież bardzo wiele — odparł bez namysłu.

— Na takiem stanowisku, jakie pan zajmujesz, i które pozwala panu obsypywać innych dobrodziejstwami, raczej p. Wołodecki mógłby panu wszystkiego zazdrościć. Wszak niedawno, czytałyśmy w dziennikach, jak szlachetnie pan postąpiłeś z dzierżawcami w swoich dobrach.

— O, ta bagatelka! — zawołał doktor — rumieniąc się na prawdę. — Wołodecki uparł się, ażeby o tem donieść w *Orędowniczce*. Opierałem się temu z początku, ale przekonał mię dowodząc, że dobry przykład zachęci innych obywateli do ofiar, które ocalić mogą wiele zacnych rodzin od ruiny ostatecznej. Moi dzierżawcy są zresztą moją bracią, bardzo dobrą i starą szlachtą.

Tą byli w istocie, w każdej karczmie bowiem siedział szlachcic, wywodzący się od Judy, który był synem Jakóba, który był synem Izaaka, który był synem Abrahama, który przyszedł z Ur, w ziemi chaldejskiej, w dolinę Jordanu.

— P. Wołodecki także ma panu wiele do zawdzięczenia.

— O, cóż znowu! Zresztą jest to bardzo dobry chłopak, niezmiernie wdzięczny, przywiązany do mnie i zdolny. Lubię go najlepiej ze wszystkich moich podwładnych.

Każda narzeczona wolałaby zapewne, ażeby jej narzeczony lubionym był przez swoich przełożonych, ale wolałaby jeszcze bardziej, ażeby ich wcale nie miał. W sposobie, jakim przemawiał dr. Mitręga, było coś upokarzającego dla niego, a tem samem, dla przyszłej jego towarzyszki życia. Dobrze jest być »dobrym chłopakiem«, ale nie dobrze mieć protektorów, którzy konstatują to w sposób protekcjonalny wobec panny, która jest przedmiotem wszystkich myśli »dobrego chłopa«.

— To uznanie z pańskiej strony — rzekła panna Kluszczyńska — jest jedyną rzeczą, której można zazdrościć p. Wołodeckiemu.

— Przepraszam, znalazł on przecież gdzieindziej uznanie godne zazdrości.

— Czy to kompliment, czy jest w tem co prawdy? — pomyślała panna Natalja— i rozważywszy rzecz nieco, zakonkludowała, że dr. Mitręga mówił prawdę, może nie chcąc, a może chcąc... Strategja i taktyka nakazują, jeżeli się jest w niepewności co do zamiarów przeciwnika, przedsięwziąć tak zwany forsowny rekonesans. Panna Natalja wraz z innemi córami Ewy posiadała intuicyjną znajomość strategji i postąpiła według jej prawideł.

— Kto sam znalazł uznanie takiej piękności, jak panna Gozdawicka, ten zapewne nikomu nic zazdrościć nie będzie i nie może.

— O-ho — pomyślał dr. Mitręga — to atak na dobre! Trzeba korzystać z pozycji, którą można zatrzymać w rezerwie. Kto wejdzie do ogrodu — dodał głośno, i smętnie — ażeby zerwać różę, królowę kwiatów, i dowie się, że już jest przeznaczoną komu innemu, ten rad nie rad kontentować się musi skromniejszym kwiatkiem, stokrótką czasem...

Głośne szczekanie Turpina przerwało rozmowę w tym interesującym punkcie. Powodem alarmu był sekretarz, który wracał do domu. Dr. Mitręga ukarał swego brytana surowo za jego niewczesną czujność, i postanowił przytem w duchu nie zaniedbywać żadnej sposobności zbliżenia się do panny Natalji. Ona ze swej strony postanowiła być jeszcze więcej oziębłą dla Stanisława, niż dotychczas, ale nie sprzeciwiać się matce w jej zabiegach polegających na sprawianiu i znaczeniu olbrzymiej ilości różnej bielizny i sreber stołowych. Wszak zwyczajem jest, że przedmioty tego rodzaju znaczone bywają jedynie cyframi panny młodej...

Po długiej konferencji z sekretarzem, dr. Mitręga popędził wprost do swoich ciotek, w szczególności zaś do jednej z nich, pani Swatalskiej. Każdy czytelnik domyśli się zapewne powodu tej wizyty, jak niemniej i tego, że pierwsze słowa panny Szlachcińskiej na wzmiankę o Kluszczyńskich były, że *kluska* nie daleko odbiegła od *zacierki*, i że legumina jest zawsze leguminą. Te same względy atoli, które przemogły w pierwszym wypadku, okazały się tu zwycięzkiemi. Pani Swatalska postanowiła działać bezzwłocznie, a to tym razem bezpośrednio, tj. bez interwencji ober-komisarjatu lub innej jakiej władzy.

Nim atoli przypatrzymy się temu działaniu, chronologia każe nam rozpatrzyć się w konferencji dr. Mitręgi z sekretarzem Kluszczyńskim i w jej rezultatach. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Bruksella w maju 1880.

Kto dziś pisze z Brukselli, czyli raczej z Belgji nie może zapomnieć o dwóch rzeczach, to j. sporze ultramontanów z liberalnymi, oraz przygotowaniach do wystawy, którą Belgja urządza dla uczczenia 50 rocznicy swej niepodległości.

Bo też prawdę powiedziawszy, gdyby nie to, ludzie by tu umierali z nudów, najsprytniejszy korespondent nie potrafiłby znaleźć materjału do listów, a miejscowe dzienniki chybaby musiały debatować czy wąż morski istnieje lub nie. Jak wam bowiem wiadomo, Belgja skazana na ścisłą neutralność, w wielką politykę się nie wdaje, nikomu wypowiadać wojny nie myśli, przeciwnie z całym światem pragnie być w zgodzie, aby zachować spokój i niepodległość.

Z tej przyczyny więc tutejsi obywatele zajmują się jedynie swemi domowemi sprawami a wypadki wstrząsające Europą, dochodzą tu tylko jak dalekie echa.

Kraj cały dzieli się na dwa wybitne stronnictwa ultramontanów o klerykalnych i liberalnych, które są z sobą w ciągłym sporze.

Nie sądźcie wszakże, aby z tego powodu groziła Belgji jaka katastrofa, *np.* rewolucja. barykady etc.

Broń Boże. Walka ogranicza się jedynie na sporach posłów w parlamencie, łajaniach wzajemnych dzienników obu obozów, trwa także przy wyborach, w radach gminnych etc. A jeżeli nawet gdzieś tam w *estaminecie*, czyli, mówiąc po polsku, szynku (których tu pełno) jaki ultra-liberał palnie w papę klerykalnego, a tenże na odwet rozbije szklankę na liberalnej głowie, to nawet i takie zaczęcie nieprzyjacielskich kroków bynajmniej niebezpieczeństwem nie grozi, bo wnet zjawia się na polu bitwy *porządek publiczny*, w osobie jakiego policjanta, rozgniewanego, że mu przerwano sen spokojny gdzieś na rogu ulicy, i wiedzie wojujące strony do kozy, zkąd przespawszy się, oraz zawarłszy zawieszenie broni, wychodzą zapijać sprawę do innego estaminetu.

Pierwszym krokiem na drodze reform, jakie rozpoczęło obecne liberalne ministerjum, było prawo szkolne (loi sur l'enseignement primaire) odbierające duchowieństwu dotychczasową władzę, i kontrolę nad wychowaniem młodzieży.

Prawdziwie trudno opisać jakiej wrzawy narobiło to prawo w ultramontańskim obozie. Deputowani występowali z ostremi filipikami, dzienniki krzyczały w niebogłosy, że chyba koniec świata się zbliża, bo wychowanie bez Boga i wiary, utworzy pokolenie łotrów, zbrodniarzy, opryszków, jednem słowem wyrzutków społeczeństwa. — Równie zawzięcie wystąpiło dziennikarstwo liberalne, tak że spór ten coraz większe przybierał rozmiary.

Prawdę powiedziawszy, nie było o co tak hałasować. Nowe prawo bynajmniej nie kasowało religji, ani też nie tworzyło szkół bezwyznaniowych, owszem nauka religji pozostała obowiązkową, tylko ta zachodziła różnica między dawnemi a nowemi szkołami, że ksiądz udzielający nauki religji jest obecnie tylko zwyczajnym nauczycielem i nie posiada bynajmniej prawa opieki i kontroli nad szkołą, co należy do ministerjum oświecenia.

Co prawda, odebranie tego wpływu na sprawy krajowe, jaki dotąd duchowieństwo wywierało, nie jest złem, owszem na korzyść tylko Belgji wyjść może.

Poprzednie szkoły stały licho, młodzież w ogóle nic się nie uczyła, jeżeli zaś wierzyć temu, co dzienniki liberalne ogłaszają codziennie w osobnej rubryce, p. t. „Acta Sanctorum“, to przyznać trzeba, że nie ciekawych rzeczy w duchownych szkołach młodzież uczono.

W chwili najzawziętszego sporu, ministerjum chciało ogłosić publicznie wszystkie wyroki sądowe, wydane przeciw duchowieństwu zakonnemu i świeckiemu, za obrazę moralności i obyczajów, projekt ten jednak cofnięto, obawiając się rzeczywistego zaburzenia.

Spór obu partji dochodzi nieraz do śmieszności. Biskupi, stojący na czele klerykalnych, rzucili ekskomunikę na przeciwną partję, bez wyjątku. Duchowieństwo, któremu, jak mówiłem, nie tylko nikt nie broni, ale owszem nakazuje udzielać nauki religji w szkołach, ostentacyjnie usuwa się od tego, tak, że w szkołach rządowych i gminnych nauczyciele sami tym przedmiotem zająć się muszą, odmawia rozgrzeszenia i sakramentów nie tylko nauczycielom i rodzicom lub opiekunom uczęszczających do tych szkół dzieci, ale nawet kilkoletnim dzieciakom, tak jakby to od nich uczęszczanie do tej lub owej szkoły zależało.

Obok szkół rządowych i gminnych, czyli „Bez Boga“, jak ich zwą ultramontanie, powstały tak nazwane szkoły wolne, założone przez duchowieństwo, które wszakże niewielkie mają powodzenie, wyjąwszy, ma się rozumieć, instytutów jezuickich oraz uniwersytetu katolickiego w Louvain, zapełnionych przez arystokratyczną młodzież, między którą znajdują się i Polacy; wiadomo bowiem, że do dobrego tonu należy tak kosmopolityzm, jak i ultramontanizm. Niepodobna zatem paniczowi lub panience, mającym tytuł do tego, kształcić się gdzieindziej, jak u jezuitów lub „Sacré Coeur“.

Obecnie odbywające się wybory do parlamentu, wyjdą, zdaje się, na korzyść partji liberalnej, co dowodzi, że posiada nietylko większość, ale i zdrowszą część ludności za sobą.

W następnych listach skreślę wam parę zabawnych epizodów z tej walki, która tak zajmuje maleńki ten kraik.

Jak wiadomo, Belgja w tym roku obchodzi 50-letnią rocznicę swej niepodległości, że zaś tu wszystkie narodowe obchody świetnie się odbywają, tem świetniej więc obchodzoną będzie tak ważna dla Belgji rocznica.

To też ogromne ku temu czynią się przygotowania. Pomimo to, że rocznica ta obchodzić się będzie we wszystkich prawie miastach i nawet wioskach Belgji, najświetniejsze jednak uroczystości być mają w Brukselli. Będzie tu krajowa wystawa rolniczo-przemysłowa, oraz międzynarodowa artystyczno-przemysłowa. Dobrzeby było, aby w tej ostatniej i nasi artyści oraz przemysłowcy wzięli udział. Wielu już francuskich, niemieckich, włoskich itd. artystów zobowiązało się uczestniczyć w niej; jest to poniekąd obowiązkiem naszych artystów i przemysłowców przekonać świat, że Polska, choć w niewoli, idzie jednak za ogólnym postępem, i nie mogąc politycznem, żyje choć wewnętrznem umysłowem życiem.

Krajowa wystawa rolniczo-przemysłowa, mająca się odbyć na dawnem polu manewrów wojskowych, będzie otwartą w d. 15. czerwca Gmachy jej są prawie na dokończeniu i wkrótce zapewne zaczną się zgromadzać okazy. Jednocześnie Bruksella elegantuje się, aby godnie przyjąć cudzoziemców oraz rodaków z innych miejscowości, których licznego napływu się spodziewa. Teatra, zwykle na lato zamykane, pozostaną otwarte, nadto odbędzie się tu kilka kongresów, jakoto: kongres rolniczy, nauczycielski, literacki itp.

Do programu licznych uroczystości należy kawalkada, przedstawiać mająca główniejsze epoki z dziejów Belgji, oraz średniowieczną uroczystość flamandzką, jaka się odbędzie w ogrodzie zoologicznym.

Ogólną radość, jaką budzi ta ważna narodowa rocznica, zakłóciła na chwilę śmierć dwóch wielkich tutejszych patryotów, ludzi, których całe życie poświęconem było dla ogólnego dobra.

Pierwszym był zmarły jeszcze w początkach marca Paweł Devaux, jeden z twórców belgijskiej konstytucji, członek kongresu w 1830 roku, ostatnio członek izby deputowanych. Jak powszechny żal śmierć jego wzbudziła i jakim ogólnym cieszył się szacunkiem, świadczy to, że w oddaniu pośmiertnej czci raz pierwszy zgodziły się oba tak zawzięte na siebie stronnictwa. Kiedy prezes izby oznajmił na posiedzeniu o jego śmierci i zaproponował wysłanie deputacji na pogrzeb, przewodnik prawicy a minister klerykalny, Malou, zgadzając się na tę propozycję w imieniu swego stronnictwa, w wymownych słowach oddał cześć zasługom zmarłego i wspomniał, że choć był jego politycznym przeciwnikiem, to jednak uznać musi, że zmarły posiadał dar jednania szacunku, nawet przeciwników.

Podziękował równie wymownie p. Malou obecny prezes ministrów Frére-Orban, wotując w imieniu lewicy, do której grona zmarły tak długo należał, za wnioskiem prezydenta.

Drugim wielce zasłużonym patryotą i filantropem był niedawno zmarły p. Artur Warocquè, także członek izby deputowanych, prawdziwy opiekun biednych. Cały swój znaczny majątek używał na ulżenie losu klasy robotniczej; nie ograniczał się wszckże na jałmużnach, przeciwnie bardzo rzadko dawał takową, ale zakładał szkoły, szpitale, tanie kuchnie, wynajdywał zatrudnienie i zarobek, jednem słowem nikt z potrzebujących nie odszedł odeń bez pomocy. Ileż razy biegał po poddaszach i piwnicach niosąc ulgę nędzy, szczególniej zaś działalność jego rozwinęła się w czasie obecnej ostrej zimy. Znanym też i kochanym był prawdziwie od robotników, zwących go swym ojcem, którzy tak tłumnie uczestniczyli w jego pogrzebie. Na śmiertelnem już łożu zniszczył rewersów na pokaźną sumę 200,000 franków, które wypożyczył między wyrobników i rzemieślników ubogich. Zostawiając i tak znaczny majątek synowi, chciał ostatni raz obdarzyć swych przyjaciół.

Cześć takim ludziom, do jakiegokolwiek narodu należą, bo przyznać trzeba, że nie wiele podobnych na świecie.

B.

Kronika Tygodniowa.

(Zjazd Długosza. Wystawa Sztuk pięknych. Szkoła garncarska. Pomnik Goszczyńskiego. Broszura p. Jerzego Moszyńskiego. Wydawnictwo rządowe podręczników dla dzieci. Występy pani Modrzejewskiej w Londynie i sprawozdanie „Graphic'a“.)

Za dni kilka odbędzie się w Krakowie zjazd historyczny na uczczenie pamięci Długosza. Zostały rozesłane zaproszenia po całym kraju i za granicę do ludzi zajmujących się polską historją. Ze Lwowa wybiera się liczne grono pracownikow na tem polu. Młodzież nasza akademicka bardzo stosowną obrała sobie chwilę do zrobienia wycieczki letniej do starożytnego grodu.

Na miejsce ogólnych zjazdów Kraków jest miastem najodpowiedniejszem. Pamiętają o tem dobrze uczestnicy jubileuszu Kraszewskiego. Tak imponująca ilość pamiątek historycznych, mimowolnie na każdym kroku sławną przeszłość przypominających, dodaje takim większym zebraniom niezwykłego uroku.

Obchód Długosza uświetniony będzie obecnością kilku znakomitych zagranicznych gości.

Jestto jeśli się nie mylimy pierwszy zjazd w Polsce, mający charakter czysto naukowy i przytem zjazd międzynarodowy.

Oto w streszczeniu program zjazdu:

Porządek dzienny posiedzenia publicznego Akademji Umiejętności w dniu 18. bm. jest następujący:

Zagajenie przez JE. Wice-Protektora Alfreda hr. Potockiego. — Sprawozdanie Prezesa J. Majera z ruchu administracyjnego i naukowego Akademji w ubiegłym roku. — Długosz na tle historjografji europejskiej, przez J. Szujskiego. — Długosz, wiersz A. E. Odyńca. — Ogłoszenie konkursów i kandydatów na członków Akademji.

Czynności w dniu 19. maja wspomniane zostały przez nas poprzednio.

Dnia 20. maja o godzinie 10. rano i o 3. po południu odbywać się będą posiedzenia zjazdu. O 6. wieczór podejmują krakowscy i galicyjscy uczestnicy zjazdu wraz z obywatelami udział w uczcie wziąć chcącymi zakrajowych i zagranicznych, około dziejów polskich zasłużonych gości wspólnym objadem.

Toasty rozdziela komitet gospod. zjazdu.

Dnia 21. maja o godzinie 10. rano i o 4. po południu odbędą się dwa ostatnie posiedzenia zjazdu historycznego.

Program zjazdu ogłoszony został i rozesłany. Zmierza on głównie ku sprawom materjału historycznego, do dziejów i rzeczy polskich w najszerszem znaczeniu, mieści wszakże i kwestje szczegółowe historyczne, archeologiczne, historji sztuki się tyczące. Pytania postawione przez referentów są tej natury, że mogą być w dyskusji dowolnie rozszerzone przez uczestników zjazdu podjęciem spraw im pokrewnych, jak np. przy pytaniu o historykach polskich XV. wieku itp. Referenci będą na to rozszerzenie przedmiotów przygotowani.

Obrady zjazdu nie ograniczają się, jak to z nazwy jego wyprowadzono do wieku Długosza, ale zgodnie z programem obracać się będą około przedmiotów całego obszaru historji i rzeczy historycznych polskich po koniec wieku XVII sięgających.

Dyskusja będzie przez sekretarzy zjazdu notowaną, uczestnicy raczą tekst przejrzeć i poprawić. Rozprawy i dyskusje drukowane będą w książce pamiątkowej zjazdu, którą do wydawnictw swoich wcieli komisja historyczna.

Dla użytku uczestników zjazdu jak niemniej dla uwidocznienia, co się na tem polu u nas stało, urządzona będzie w lokalach sąsiednich sali obrad zjazdu wystawa materjału historycznego polskiego od r. 1830.

Ks. kanonik Polkowski urządził w kapitularzu katedry na Wawelu wystawę rękopiśmiennych i innych pamiątek po Długoszu. odnowił zarazem tablicę pamiątkową, ozdobił dom narożny pod zamkiem w ulicy Kanonnej (po lewej stronie od zamku), gdzie Długosz stale mieszkał i gdzie umarł.

* * *

Jutro nastąpi otwarcie dorocznej wystawy sztuk pięknych.

I w tym roku znowu wybrano do wystawy aulę szkoły politechnicznej. Według naszego zdania jedna z sal wielkich politechniki od północy położonych byłaby korzystniejszą, bo w auli ciągłe jest prawie słońce i silny refleks od ścian biało pomalowanych.

Dość często przeszłego roku robiono zarzut, iż aula politechniki jest zbyt odległa od miasta. Praktyka wykazała, iż w ostatnim roku liczba zwiedzających wcale się nie zmniejszyła, więc pozostano przy tej samej sali.

Dotychczas jeszcze niezbyt dużo nadeszło obrazów. Sądzimy jednak, że w parę dni wystawa się zapełni. Matejki nic dotąd nie ma. Siemiradzki odpisał, że w tej chwili nie może nic nadesłać, chyba pod koniec wystawy.

* * *

Z radością witaliśmy doniesienie o zawiązać się mającej we Lwowie szkole garncarskiej. Miała być to szkoła fachowa na wzór szkół w państwie Austrjackiem skwapliwie od pewnego czasu otwieranych, których celem jest zastosowanie sztuki do przemysłu. Mieliśmy nadzieję, że szkoła ta po pewnym przeciągu czasu, nietylko położy kres handlowi garnków z zagranicy, lecz pod energicznem i umiejętnem kierownictwem najwyższemu celowi swemu odpowie, t. j. zastosuje piękno w praktyce. Dziś już niestety sprawa ta należy do przeszłości. Skończyło się tylko na dobrych chęciach Izby handlowej i idealnem sprawozdaniu ankiety Radzie miejskiej przedłożonem.

Powtarzamy i kładziemy nacisk na idealne sprawozdanie, jakie ankieta zredagowała, nie możemy bowiem w żaden sposób pogodzić się z projektem tejże wykształcenia garncarzy tylko *teoretycznie*. Musimy mieć nasamprzód wykształconego rzemieślnika, musimy wprzód dobrym materjałem i wyrobem gorącą zrobić konkurencję naczyniom czeskim, szlązkim i fabrykom niemieckim, a potem będzie nam wolno zająć się, lecz nie tylko *teoretycznie* ale i *praktycznie* naczyniem mającem wartość artystyczną. Jest to sprawa nagląca, którą gorąco polecamy obywatelom kraj swój miłującym.

* * *

Inną sprawą ogół obchodzącą będzie niezawodnie pomnik Goszczyńskiego. Pierwotny komitet, pomnikiem tym zajmujący się, dzięki swej nieskończenie wielkiej nieznajomości rzeczy, doszedł do bardzo smutnych rezultatów. Oprócz bowiem postumentu pod figurę i kamienia na tę, nic więcej przez lat *cztery* nie zrobiono. Od kilku dopiero miesięcy dzięki niejakiej zmianie w składzie komitetu zajęto się tem goręciej, mimo to jednak powątpiewamy o możebności korzystnego szybkiego załatwienia tej sprawy, z powodów: 1) że w komitecie ani jeden z fachowych ludzi nie zasiada, 2) że połowa sumy na pomnik przeznaczona, na pokrycie dotychczasowych wydatków wykonawcy wręczoną została. Nie chcemy bynajmniej wykonawcy (p. Markowskiemu) pod tym względem robić zarzutu, cała wina spada na b. komitet. Dzisiejszemu zaś niech nam będzie wolno szczerą dać radę, a mianowicie, by zechciała do pomocy uprosić którego z p. p. architektów lub artystów-rzeźbiarzy.

W przeciwnym razie możemy się pomnika chyba dopiero w 25 rocznicę śmierci żołnierza-poety spodziewać.

* * *

Niech żyje otwartość!

Mamy przed sobą nową 9-cio arkuszową broszurę niejakiego pana Jerzego Moszyńskiego, wydaną w Krakowie p. t. „Rzut oka na politykę austryacko-polską w 1880 roku“.

Jeżeli już *de facto* w społeczeństwie naszem nurtują prądy, dążące do zaniechania myśli o niepodległej Polsce, to pan Jerzy pierwszy je sformułował i jasno wypowiedział.

Oto np. ustęp ze stronicy 15tej:

„Interes chwili, wielkie przyszłości dążenia i *cel ich ostateczny* mając z Austrją wspólny, mamy tu w Galicji, obok pracy codziennej, pole do pracy politycznej dla przyszłości narodu.“

Zobaczmyż jaką ma być ta przyszłość narodu:

„... pamiętajmy, że pierwszym warunkiem by praca ta nie była ułudną, by zdrowe i obfite wydała owoce, jest nasza dobra wiara, która od nas wymaga *wymazania niepodległej Polski z ostatniego nawet planu naszych widoków i aspiracji.*«

Więc to jest droga do zapewnienia przyszłości narodu!

Broszura dedykowana jest „stronnictwu krakowskiemu“ i odezwa rozpoczyna się od słów: „Pamięć na to, że Wyście wskazali drogę przodowania narodowi w pracy i poświęceniu dla kraju, że pierwsi poszliście za głosem obowiązku, włożonego przez Boga na rody, którym przodowanie z tradycji się należy; pamięć wspólnych cierpień, nadziei i rozczarowań ośmieliła mię do Was zwrócić ten krzyk boleści i przerażenia o przyszłość ojczyzny.“

Stańczykom winszujemy nabytku tego nowego kolegi, który się podpisuje ich „szczerym przyjacielem“.

Jestto jeden z kwiatków więcej, które zakwitły na gruncie austrjacko-polskiej polityki. Miłość „ściślejszej ojczyzny“ wyprowadza je na świat, jak promienie słoneczne wyprowadzają z łona ziemi prawdziwe kwiaty.

Coby na to powiedział Piotr Moszyński gdyby żył?

* * *

Rządowe wydawnictwo podręczników dla dzieci jest tak niedołężnie prowadzone, że przeciw takiej gospodarce założyć musimy protest uroczysty.

Co roku to bywa, że raptem brak w handlu jakiejś książki niezbędnej do nauki.

Teraz przyszła kolej na elementarz. Od przeszło dwóch miesięcy do księgarń zgłaszają się dzieci po przepisany abecadlnik, a tu nie masz ani jednego egzemplarza. Nie ma także polskiej książki dla klasy drugiej.

A gdzież one są u licha?

Wydrukowanie elementarza nie należy do tak trudnych zadań sztuki drukarskiej, żeby zecery mieli nad niem kilka miesięcy pracować. Jeśli się więc brak okazał, to trzeba było pójść do drukarni i natychmiast kazać złożyć nowe wydanie. Każda drukarnia potrafi to uczynić w jednym tygodniu. Tymczasem wskutek, niewiemy czyjego niedołęztwa, kilka miesięcy upływa, a dzieci siedzą bez elementarza!

Quousque tandem!

* * *

Pani Modrzejewska ma w Londynie większe powodzenie nawet, niż w krajach zamorskich.

Jej występy w „Damie kameliowej“ Dumasa, robią formalną furorę. Wszystkie większe dzienniki londyńskie, podają o jej grze obszerne recenzje, pełne pochwał entuzjastycznych.

Jedną z nich, podaną w „Graphic“, podajemy w dosłownem tłumaczeniu:

„Pierwszy występ w Anglji pani Modrzejewskiej nie zawiódł wysokich oczekiwań, opartych na popularności tej skończonej artystki w Stanach zjednoczonych. Grała ona rolę bohaterki w przeróbce Mortimera z Dumasowskiej „Damy kameliowej“, w „Court-Teatre“ przed audytorjum mającem zupełne prawo do wydawania sądu i zdobyła sobie entuzjastyczne przyjęcie na naszej scenie. Pani Modrzejewska (Modjeska), jak to nasi czytelnicy zapewne wiedzą, jest damą polską, która już zdobyła sobie pewną sławę występami na kontynencie, zanim kilka lat temu pojechała do Ameryki i tam, wspomagana znakomitą swą biegłością w angielskim języku, wzięła od razu na siebie główne role w angielskich sztukach. Zdaje się nam, że w Berlinie (zabawna pomyłka! *przyp tł.*) zdobyła sobie pierwsze powodzenie i że w tem mieście jest ulubienicą stałą publiczności. Jest to osoba średniego wzrostu i bardzo miłej powierzchowności. Jej akcent, jakkolwiek stanowczo cudzoziemski, nie jest na tyle obcym dla ucha angielskiego, aby przeszkadzał wrażeniu jakie odbieramy z jej gry szczerej, jej miłego i giętkiego głosu, nad którym całkowicie panuje i który dodaje jej grze wiele wdzięku.

Trzeba podziwiać subtelną gre fizjognomji, która z łatwością wszelkie odcienia najrozmaitszych uczuć wyraża. Przy tych naturalnych przymiotach umiejętnie rozwijanych, pani M. stała się, że tak powiemy, panią sceny w całem znaczeniu tego wyrazu. Tak zaś jest rutynowaną, że patrząc na nią, doznajemy formalnego złudzenia i bierzemy sztukę za rzeczywistość, zapominając, że do pokonania tych trudności potrzebne były długie studja. W gestach i ruchach wdzięcznych i estetycznych nie ma sobie równej, a chociaż jej brakuje świeżości i idealności naszej niezrównanej artystki Heleny Terrys, to zawsze jest zdolną zentuzjazmować i poruszyć widzów do wysokiego stopnia. Zarzucić jej można, że nadto subtelnie pojedyńcze momenta traktuje, przez co całość traci a charakter, który przedstawia, nie występuje dość wyraziście. Jest to jednakże po części wina sztuki, składającej się z obrazów obliczonych na

efekt i nie zbyt naturalnych. Temat nie zbyt sympatyczny i sztuka niemoralna. Widzimy w niej budzące się uczucie w piersi kobiety upadłej i obraz skruchy, żalu i rozpaczy, szarpiącej jej duszę. W sztuce p. Dumasa jest temat śmielej i jeszcze wolniej przeprowadzony niż w przerobieniu p. Mortimera, który uważał tę zmianę za konieczną dla smaku angielskiego; logika jednak na tem straciła. Nie mniej przecież posiada wiele scen pełnych efektu i chwil dramatycznych, które polska artystka umiała podnieść i na swoją korzyść wyzyskać. Wykonanie całości było dla niej, krótko mówiąc, tryumfem. Pani Modrzejewska może i powinna wystąpić wieczorem w jednym z naszych teatrów, aby się przedstawić szerszej publiczności, której przedstawienia za dnia nie odpowiadają, szczególniej zaś w sobotę. Jest w stanie obudzić ogólny szał (rage) pomiędzy nami."

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Przed miesiącem donosiliśmy że „Janko Muzykant" prześliczny szkic Henryka Sieńkiewicza, wychodzi w francuskim przekładzie p. Poradowskiej — Gachet w brukselskiej „Revue de Belgique. Obecnie dodajemy, że szkic ten wyszedł w oddzielnej odbitce. Tłumaczenie jest wzorowe, pani Poradowska z prawdziwym talentem i subtelnością odczuła i oddała wiernie całą rzewną prostotę i koloryt oryginału — choć zadanie było nadzwyczaj trudne.

W pani Poradowskiej — Gachet znaleźliśmy życzliwą i utalentowaną przyjaciółkę naszej literatury, niestety dotąd jeszcze za mało znanej i cenionej zagranicą.

*** „Djabeł", humorystyczny dziennik krakowski, podał w ostatnim numerze wielką półarkuszową rycinę przedstawiającą niezmiernie dowcipną parodję, znanej powszechnie paryskiej publikacji na dotkniętych powodzią mieszkańców Murcji. Parodja ta ma tytuł „Paris-Murcie Cracovie i zawiera zdania i sentencje mnóstwa głośnych u nas osobistości ze stosownemi rysunkami. Pomysł doskonały a strona artystyczna i w ogóle wykonanie tak świetne, że dawno już nie widzieliśmy coś równie dobrego.

Jest to wyborna illustracja dzisiejszych stosunków krakowskich i w ogóle galicyjskich — zjadliwa, smutna, lecz sprawiedliwa.

Przy tej sposobności należy oddać sprawiedliwość redakcji Djabła — że jest pod każdym względem staranną i doskonale pojmuje swoje zadanie. Nie stawiając własnego programu wielkiej polityki, bo to do pisma humorystycznego nie należy — stara się bawić i zarazem uczyć dowcipną zdrową satyrą — co jej się w zupełności udaje.

Treść „Djabła" jest obfita i urozmaicona — a illustracje wykonywane przez najlepszych krakowskich malarzy zawsze doskonałe — często imponujące.

*** „Ekonomista" rozpoczął druk zajmującej pracy p. t. „Z dziejów miast polskich".

Rzecz ta opracowaną jest na podstawie „Volumina legum".

*** Obecnie wyszło w Wrocławiu w tłumaczeniu niemieckiem K. Altmann'a dzieło naszego dziejopisarza i znakomitego kaznodziei ewangelickiego z XVIIgo wieku, Andrzeja Węgierskiego, p. t. „Kronika gminy ewangielickiej w Krakowie od początku do 1657 r."

*** W Wiedniu profesor Karol Arends wydaje od r. z. czasopismo niemieckie „Przegląd geograficzno-statystyczny, którego spółpracownikami, pomiędzy wielu innymi, są nasi rodacy: prof. Benoni ze Lwowa, prof. uniwers. krakowskiego, Franciszek Czerny i warszawianin Albin Kohn z Poznania.

W ostatnich zeszytach znajduje się uczona rozprawa Czernego „O powstaniu gór" i K. Pawłowskiego „Ostatnia rezydencja Osmanidów".

Nauka.

*** *Stowarzyszenie naukowe brytańskie* dla postępu nauk zjazd swój tegoroczny odbędzie w Swansea, pod prezydencją prof. Ramsaya. W 1881. posiedzenia odbywać się będą w Jorku. Stowarzyszenie amerykańskie, założone na wzór poprzedniego, wybrało Boston na miejsce zebrania się w roku bieżącym. Aleksander Agassiz jest jednym z wiceprezesów zjazdu.

*** *Stowarzyszenie elektro-techniczne.* Rozszerzające się coraz bardziej i z każdym dniem wzrastające zastosowanie elektryczności, spowodowało utworzenie w Berlinie osobnego stowarzyszenia, pod nazwą Electrotechnischer Verein. Zawiązek swój zawdzięcza ono w znacznej części energji głównego dyrektora poczt niemieckich p. Stephana, którego żywo obchodzą najświeższe postępy nauki. Oprócz niego, na czele stowarzyszenia stoją dobrze znane osobistości prof. Kirschhoffa i dra Wernera Siemensa. Lista członków wynosi już przeszło 700 osób i obejmuje imiona pierwszorzędnych przedstawicieli wszelkich gałęzi umiejętności i sztuki.

Sztuki piękne.

*** Siemiradzki kończy dla kościoła ewangielickiego w Warszawie wielki obraz religijny.

*** Najnowsze płótno Matejki „Zabicie Leszka Białego" pomieszczone zostało w salonie Ungra w Warszawie.

W tymże salonie znajduje się też od dni kilku nowy obraz Prószkowskiego „Madej".

*** Londyńska królewska akademja sztuk pięknych otworzyła doroczną wystawę obrazów. W sobotę dany był bankiet, na którym byli obecni książę Walji i książę Cambridge, posłowie, nowy gabinet, oraz główni przedstawiciele sztuki, literatury i umiejętności. Przemawiał Gladstone i inni.

*** W jednym z dzienników zagranicznych spotykamy fakt następujący:

„W przededniu otwarcia Salonu paryskiego widziano w jednej z bocznych galerji wychodzących ku ogrodowi człowieka, który, wspiąwszy się po drabinie do obrazu, zawieszonego w pewnej wysokości, wykroił go z ram i najspokojniej w świecie zwinięte w rulon płótno wziął pod ramię i wyszedł.

Nikt nie przeszkodził temu pozornemu wandalizmowi.

Tego samego dnia ukazał się w dzienniku „Gil-Blas list otwarty wystosowany do p. Turquet, podsekretarza w ministerjum sztuk pięknych, takiej treści:

„Panie! Po dwukrotnem wzięciu udziału w poprzednich wystawach Salonu, przesłałem i w roku bieżącym moją pracę, portret naturalnej wielkości. Obraz przyjęto. Jakież wszakże było moje zdziwienie, gdy znalazłem go zamieszczonym na ścianie jednej z galerji zewnętrznych, jakby umyślnie obok gotyckiego okna, przez którego kolorowe szyby światło padało na moje płótno, psując zupełnie efekt obrazu. Ponieważ nie udało mi się mojego zażalenia panu osobiście przedstawić, byłem zmuszony uczynić to, co każdy artysta szanujący swą godność w mojem położeniu uczyniłby nie omieszkał: pozwoliłem sobie wykraść mój portret z ram, które jak chcą, niech sobie teraz z gotyckiem oknem radzą. Racz pan i t. d."

Portret przedstawiał pannę Délésy, artystkę dramatyczną — młodym malarzem zaś, tak energicznie protestującym przeciw lekceważeniu swego dzieła, był p. Wojciech Kossak, syn naszego znakomitego akwarelisty.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Ksiądz Karol Samogyi, proboszcz katedralny w Ostrzyhomiu, ofiarował bibljotekę swoją, złożoną z 70.000 tomów, miastu Szegedynowi.

*** Paryskie towarzystwo omnibusów miało w r. 1879 przy ogólnym wpływie 30,102.660 fr. 141.000 fr deficytu. Na niekorzystny ten rezultat wpłynęło założenie 14 nowych linij tramwajów, oraz niezwykłe śniegi w grudniu, które towarzystwo kosztowały dziennie 50.000 franków. W skutek tego towarzystwo zamierza podwyższyć opłatę za przewóz.

*** Podobno rada miejska berlińska, dała dr. Siemeensowi koncessję na kolej elektryczną, która ma połączyć z sobą place Widding i Belle Aliance. Szyny położone będą na słupach żelaznych, nie przeszkadzających bynajmniej swobodnemu ruchowi wozów i przechodniów na ulicach. Stacji pośredniej pomiędzy krańcowemi punktami nie będzie.

*** „Zegary pneumatyczne w Paryżu." Piętnastego marca w lokalu zajmowanym przez Kompanję zegarów pneumatycznych (o których niebawem obszerniej doniesiemy) przy ulicy S. Anny, 7, w Paryżu, odbyła się uroczystość ich inauguracyjna. Zaproszono na nią wiele osób, między któremi znajdowało się wielu dyplomatów zagranicznych, przemysłowców, uczonych dziennikarzy i znaczna liczba ciekawych. Tłumy mianowicie ludu na ulicy z niecierpliwością oczekiwały wpół do szóstej, kiedy przyrządy w ruch puszczone być miały. Nie zawiodło ich oczekiwanie, w naznaczonej bowiem chwili wszyscy obecni przekonać się mogli o zupełnej zgodności ruchu tych zegarów. Powodzenie więc zegarów pneumatycznych jest niewątpliwe, jeżeli tylko cena abonamentu będzie przystępną dla ogółu.

Podróże.

*** *Ksiądz Carrie,* przełożony missji katolickiej nad Kongo, pisząc w dniu 3. grudnia r. z. z Landana, podaje niektóre szczegóły o wyprawie Stanleya. Orszak słynnego podróżnika ma być bardzo liczny; oprócz samego Stanleya, składa się on z nadzorcy, inżyniera, kapitana, kilku mechaników, cieśli i t. p., w ogóle z dwudziestu osób rozmaitych narodowości: belgów, amerykanów, anglików, włochów, duńczyków. Niedawno przyłączył się do wyprawy francuski naturalista pan Proche. Kilku europejczyków uległo już febrze i trudom nieodzownym w przedsięwzięciu tego rodzaju. Orszak czarnych składa się ze stu blisko osób, arabów lub krajowców, ze Sierra Leone lub Congo. Wyprawa zaopatrzona jest w pięć niewielkich parowców, w kilka łodzi, wozów i innych przyrządów do transportu lądem, w drewniane rozbierane domy i t. p. Ksiądz Carrie dojechał na parowcu do Noki, ostatniej siedziby europejskiej (holenderskiej), nad rzeką. Ztąd czółnem popłynął dalej, do Vivi, pierwszej stacji wyprawy Stanleya, na prawym brzegu rzeki, w odległości mniej więcej 28 mil geograficznych od oceanu. O milę dalej leżą pierwsze katarakty Yellala. Kiedy ksiądz przybył w te miejsca, Stanley był na wycieczce w górach w kierunku wielkiej wsi Vivi. Mówiono mu tylko, że tajemniczy podróżnik zwykle udaje się na wycieczki, nie mówiąc nikomu dokąd, i wraca zmordowany, spotniały i kurzem okryty, przemilczając o tem, zkąd przychodzi. Czekając na koniec pory dżdżystej, osiedlił się on tu na pierwszej stacji, jako na podstawie wszystkich swoich dalszych podróży, i przemyśliwa nad sposobami pokonania trudności, jakie napotkać może. Są one tak wielkie, że według zdania księdza Carrie, trzeba będzie bardzo długiego czasu, zanim uda się wyprawie przebrać przez dziki łańcuch górski i założyć drugą stację w Stanley Pool, o 40 przeszło mil geograficznych dalej. Zamiarem Stanleya jest podobno pójście w górę Congo do Lualaby, gdzie spodziewa się znaleźć swego przyjaciela, Tibu-Tiba, araba. Następnie pragnie zbadać kraj leżący na zachód od Congo, a także miejscowości po obu jej brzegach, starając się współcześnie o ściągnięcie handlu kością słoniową do Albemy.

*** Stowarzyszenie „kościoła wolnego szkockiego", odebrało od członka swego, pana Jamesa Stavarta z Liwingstonii, sprawozdanie z niedawnej jego podróży badawczej od północnego krańca jeziora Nyassa, do południowego krańca jeziora Tanganiki, dokąd przybył on wieczorem 5. listopada r. z. Sprawozdanie to tem jest ważne, że jak się z niego pokazuje, pan Stavart dwie trzecie drogi odbył w kierunku znacznie na zachód odchylonym od kierunku obranego przez Thomsona, a daleko łatwiejszym do

przebycia i przedstawiającym łagodne pochyłości w górę i na dół. Staje to w sprzeczności z telegramem dawniej odebranym z Mozambiku, jakoby Thomson znalazł kraj płaski między wyżej wymienionemi jeziorami.

*** *Dr. Mateucci,* znany podróżnik włoski, który niedawno w towarzystwie księcia Borghese wyjechał z Rzymu z zamiarem podróży badawczej po Afryce, przybył do Kairu, gdzie szczęśliwym trafem spotkał się z monsiniorem Wilhelmem Massaja. Duchowny ten długo przebywał w Abissynii i kraju Gallasów, jest więc w stanie udzielić doktorowi Mateucci bardzo ważnych wskazówek co do tych miejscowości, które włoscy podróżnicy obrali sobie za główne pole badania.

*** *Podróżnik rosyjski Potanin* powrócił z podróży swojej po Mongolii w dniu 13. listopada r. z. do Irkucka, dla przepędzenia tu zimy. Badania jego dotyczyły głównie mieszkańców północno zachodniej Mongolii, nie pomijając wszakże spostrzeżeń geograficznych i historyczno-naturalnych. Towarzysz jego Andrejanow zdejmował fotografje ludzi, miejscowości i rozmaitych ciekawych przedmiotów, oraz zajmował się stosunkami geologicznymi kraju. Topograf Orłow, który się z nimi w sierpniu połączył, pracował w południowo-zachodniej Mongolii.

*** Gazeta wiedeńska „Presse“ donosi, że kapitan Weyprecht zajmuje się z hr. Wilczkiem ostatecznemi przygotowaniami do nowej wyprawy podbiegunowej. Wielu majtków dalmackich ofiarowało im swoje usługi. Hrabia z kapitanem mają się udać niebawem do Hamburga, dla porozumienia się z przedstawicielami rozmaitych towarzystw europejskich.

Zjawiska przyrody.

*** Z różnych stron nadeszły telegramy, donoszące o straszliwych spustoszeniach, spowodowanych przez burzę szalejącą dnia 18. w Missouri, Jowa, Illinos, Wisconsin, Kanzas i w całej dolinie Mississipi Najsilniejsza burza srożyła się w mieście Marshfield. Prawie całe miasto legło w gruzach. Gdy dnia 19. przybył z Sprinfield pociąg z pomocą, miejscowość znaleziono zupełnie opuszczoną. Pozostało tylko czternaście domów, a i te były uszkodzone. Część ruin gorzała. Do wieczora dnia 19. odgrzebano 78 zwłok. Około stu rannych opatrzono. W Champaign w stanie Illinois uległ zniszczeniu gmach uniwersytecki. Również i na wodach uragan poczynił wielkie szkody.

*** W Sienne we Włoszech skonstatowano w tych dniach trzykrotne trzęsienie ziemi.

ROZMAITOŚCI.

Nowy sposób prowadzenia wojny.

Upadek prezydenta Daza w Boliwii, jest tak dziwnym wypadkiem, że nie może nie zwrócić na siebie uwagi.

Ze wszystkich prezydentów Południowej Ameryki, ani jeden nie nosił kapelusza przyozdobionego tak dużem i kosztownem piórem, jak nosił Daza, bohater Boliwii.

Wyniósł się do godności prezydenta, nie przez podstęp lub jaki inny sposób, lecz przez swoją śmiałość, zamordowawszy swojego poprzednika.

Panowanie Daza było świetnem, wspaniałem, a to z powodu owego kosztownego pióra, które zdobiło jego bohaterską głowę.

Jedynym w swoim rodzaju sposobem oczyścił politykę boliwiańską, zmieniając sam własną politykę, tak regularnie jak zmieniał bieliznę.

Najświetniejszym czynem jego rządów, był sposób prowadzenia wojny z Chilijczykami.

Wojna w ogóle jest i była uważaną za krwawą stronę każdych rządów; lecz prezydent Daza wynalazł środek do prowadzenia wojny bez kosztu i bez rozlewu krwi, i dał tego dowód, gdyż wojna, która zwróciła oczy całego cywilizowanego świata Boliwii i Peru przeciw Chili, nie kosztowała Boliwię nie tylko ani jednej kropli krwi boliwskiej ale nawet ani jednego sola.

A to w następujący sposób:

Pomiędzy Boliwią a Chili leży rzeczpospolita Peru. Niebardzo dawno temu prezydent Daza napomknął prezydentowi Peru, że przymierze pomiędzy nimi dla obrony ich krajów, a nawet w razie potrzeby dla ukarania którego z krnąbrnych sąsiadów, i w tym wypadku wkroczenie w granice sąsiada, byłoby wcale na swojem miejscu. Przedstawiał Daza swojemu nowemu sprzymierzeńcowi, że państwa europejskie zawierają takie przymierza, a zatem Boliwia i Peru powinny naśladować ich przykład, aby światu dać dowód, że one także należą do narodów cywilizowanych.

Ta myśl podobała się prezydentowi Peru.

Znalazłszy boliwijskiego generała umiejącego pisać, polecono mu, aby napisał traktat między temi państwami, poczem ci dwaj prezydenci dokument ten przyozdobili dwoma krzyżykami, jako dowód własnoręcznego podpisu, a tak byli niezmiernie zadowoleni, iż przekonani byli, że spełnili jakiś wielki czyn.

Po zawarciu tego przymierza prezydent Daza zaczął szukać przyczyny dla poróżnienia się z Chili.

Brzegi morskie boliwijskie mało co są większe od szwajcarskich, nie było więc żadnego niebezpieczeństwa, aby flota chilijska niepokoiła Boliwię, a biorąc na uwagę, że armia chilijska mogła tylko wkroczyć do Boliwii, maszerując przez Peru, pozostawało Boliwijczykom w każdym razie dosyć czasu do rejterady nietylko dla armii, ale nawet dla całego narodu.

Drugiem zapewnieniem dla Boliwijczyków, że będą bezpiecznymi, było, że flota peruwiańska mogła walczyć z chilijską na morzu, a armia peruwiańska była w stanie toczyć bitwy z armią chilijską na lądzie.

Boliwia mogła więc wypowiedzieć wojnę i walczyć z odwagą, nie potrzebując wydać grosza ani rozlać choćby kroplę krwi.

Każdy przyzna, że nikt, tylko wielki geniusz mógł wymyślić taki sposób prowadzenia wojny. Ten nowy wynalazek przedstawia prezydenta Daza nietylko jako najzdolniejszego strategika, bohatera, ale jako najzdolniejszego dyplomatę dziewiętnastego wieku, w obec którego giną Beaconsfield, Bismark i t. p.

Mając takie zapewnienia, Boliwia nakłoniła Peru, i obie te rzeczypospolite wypowiedziały wojnę Chili. Wprawdzie Peruwianie bardzo zastanawiali się nad odkryciem, czem Chilijczycy mogli ich skrzywdzić, i za co mieli się mścić Lecz gdy prezydent oświadczył im fakt, którego nikt nie zrozumiał, cały naród się oburzył, i postanowiono ukarać Chilijczyków bez zwłoki.

W skutek tego flota peruwiańska dostała rozkaz odszukania chilijskiej floty, armia peruwiańska także wkrótce stanęła na stopie wojennej i ruszyła ku południowej granicy Chili.

Prezydent Daza był także w pogotowiu i wysłał cztery tysiące wojska boliwijskiego, aby w czasie nieobecności wojsk peruwiańskich furażowało w Peru, a jeżeliby się udało bez narażenia się jednakże na niebezpieczeństwo, to mieli rozszerzyć furażowanie i na terytorjum Chili, aby mogli zaopatrzyć się we wszystko, co tylko będą mogli z sobą zabrać.

Tak więc kiedy Boliwijczycy bawili się na tej wycieczce, Peruwianie walczyli walecznie, lecz los im nie sprzyjał, i jakoś Chilijczycy nie dali się pobić. Zabrali całą flotę peruwiańską, a ich armia przekroczywszy granice peruwiańskie, nie chcąc nawet, pobiła groźny oddział peruwiański, i bez odpoczynku udała się w dalszy pochód, aby spotkać się z armią sprzymierzoną Peru i Boliwii. Ta strategia nie bardzo trafiała do przekonania Daza i jego czterech tysięcy Boliwijczyków; oni używali na tej wycieczce takich przyjemności, jakich w Boliwii nie mieli; prawda, że wielki wpływ na Peruwiańczykach wywarli bo znacznie zmniejszyli przez czas swego pobytu gospodarstwa kurnikowe, tak, że czyny ich mogły się na tem polu porównać z odpustami murzynów, a może nawet i ci mogliby im pozazdrościć.

Żyjąc tak, Boliwijczycy nie mieli najmniejszej myśli bić się z Chilijczykami; ta część programu, podług ich zdania, była przeznaczona Pruwiańczykom.

Kiedy armia chilijska zbliżała się do obozów armii sprzymierzonych, Boliwijczycy oświadczyli, że mają pilny interes w Boliwii, przyszło im bowiem na myśl, że przez swoją nieobecność zaniedbują kraj, i że nadchodził czas perjodycznej dorocznej rewolucji. Jako prawdziwi patrjoci, czuli się w obowiązku wrócić i zwalić rząd, a w razie wkroczenia Chilijczyków w granice kraju, powitać ich gościnnie krwią swych braci skrwawioną ręką.

Po powrocie do kraju święcie wykonali te obowiązki obywatelskie, będące przywilejem każdego obywatela hiszpańskich rzeczypospolitych w Środkowej i Południowej Ameryce.

Zwalono Daza, nie przez nieprzyjaźń ku niemu, bynajmniej lecz jedynie chcąc zachować tradycję ojców, to jest coroczne rewolucje.

Prezydent Peru widząc, iż jego sprzymierzeńcy mają tak ważny interes we własnym kraju, przypomniał sobie, że i on ma także bardzo ważny interes w Nowym-Yorku, którego w żaden sposób zaniedbać nie powinien. Jako dobry patrjota, postanowił zaraz wyjechać, aby przybywszy tam, mógł bez przeszkody rozmyślać nad przyszłością i dobrem swego kraju i aby mógł w spokoju ułożyć nowy plan do kampanii. Pomimo, że dobrze się zaopatrzył w dublony ze skarbu narodowego, zapomniał jednak zabrać z sobą godności prezydenckiej.

Zaraz po jego wyjeździe chytry ale przedsiębierczy rodak jego, spostrzegłszy duże P. na pieczęci urzędowej, nie wiedział czy to kraj, czy nazwisko prezydenta, a ponieważ P. było odpowiedniem i do jego nazwiska, zabrał więc pieczęć a z nią godność prezydenta, którą jeszcze trzyma.

Być może, że wiele osób sądzi Daza jednostronnie i uważają jego przedsięwzięcie za upadek, ponieważ utracił stanowisko. Lecz sądząc bez uprzedzenia, trzeba przyznać, że to było świetne zwycięstwo.

Wojna toczy się od kilku miesięcy, a przecież ani jeden Boliwijczyk nie usłyszał strzału z nieprzyjacielskiego obozu, i ani jedan sol nie ubył z kieszeni prezydenta Daza użyty na koszta wojenne. Zupełnie przeciwnie; nawet cztery tysiące Boliwijczyków, które postawiono jako kontyngens armji sprzymierzonej, wypasło się na wikcie peruwiańskim, przez co zyskali znacznie na sile fizycznej, i w polepszonym w ogóle stanie wrócili do ojczystej ziemi.

Konstytucja Boliwii zawiera następujący paragraf: „Jeżeli prezydenta panowanie się skończyło, czy to przez morderstwo, czy przez rewolucję, nowy prezydent zajmuje jego miejsce.“

Prezydenta Daza czas się skończył, on tymczasowo cofnął się od życia publicznego. Tu w całej hiszpańskiej Ameryce, a nawet pewnie w całym świecie nikt nie zaprzeczy talentu prezydentowi Daza, chyba, że przez zazdrość. Jest to talent nieoceniony,

Prowadził wojnę armią i kosztem sąsiedniej republiki, dla tego też cywilizacja hiszpańskiej Ameryki wielbi go i woła: „Viva Daza!“

Treść Nr. 20. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.